ROK II 37 (86) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 14 września 1930 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



JESIENNE FORPOCZTY. (fot. Paramount)

STANISŁAW PORAJ.

DOMINIUM MARIS BALTICI

Odcięci przez stulecie zgórą od morza, skazani na oglądanie cudzoziemskich jedynie okrętów, zatraciliśmy do tego stopnia wszelkie tradycje morskie, iż sami gotowiśmy dzisiaj zdumiewać się szybkim rozrostem Gdyni i rozbudową naszej floty handlowej, za którą pójść musi i pójdzie niewątpliwie rozwój marynarki wojennej.

Dziwimy się dziś samym sobie nieomal, że dokonaliśmy rzeczy tak wielkich w czasie tak krótkim przecież, my, szczury lądowe, którym nawet za najświetniejszych czasów Rzplitej królewskiej wyraźnie nie sprzyjało powodzenie w walce o „dominium maris Baltici", o panowanie nad Bałtykiem.

Zapominamy bowiem o czasach dawniejszych nierównie, aniżeli nasz wiek złoty za Jagiellonów, gdy już w przeważnej mierze zepchnięci byliśmy z naszego, lechickiego pobrzeża Bałtyku. Linja ówczesnej naszej ekspansji politycznej wiodła ku puszcz litewskich przepastnym gęstwinom, ku miodem i mlekiem płynącym stepom ukrainnym, odwracała zaś oczy nasze od bursztynowych wybrzeży, ku którym właśnie dążyli pierwsi twórcy Polski piastowskiej, Mieszko, Bolesław Chrobry, Bolesław Krzywousty.

W tej bowiem dopiero dobie historycznej odnajdujemy w narodzie żywe jeszcze tradycje dawnych przodków naszych, Wendów, których wolne, nieujawnione krainy ciągnęły się od ujścia Elby, gdzie dziś niemiecki Hamburg, aż do owej wendyjskiej, słowiańskiej osady nad błękitnym Adrjatykiem, na której gruzach wyrosła włoska dzisiaj Wenecja..

Od ujścia Elby, a bodaj czy nie od ujścia Wezery, pobrzeżem dzisiejszego morza Niemieckiego, poprzez dzisiejszą Holsztynję a dalej znów pobrzeżem Bałtyku do ujścia Wisły na wschód — władały plemiona lechicko - pomorskie, o których najstarsi kronikarze niemieccy zgodnie z ruskim Nestorem twierdzą, iż jednej byli mowy i obyczajów z Polakami, jacy się nad Gopłem osiedlili, a gdzie zrodzili się pierwsi wielcy Piastowie, twórcy Polski.

Bliskość morza, codzienne obcowanie z tym potężnym i życiodajnym żywiołem, nie mogła nie wywrzeć wpływu na pobratymcze nam plemiona lechicko - pomorskie. Byli też oni niewątpliwie dzielnymi żeglarzami, musieli czerpać z morza te wielkie korzyści, jakie wszystkim nadmorskim i żeglarskim narodom żywioł ów dawał, — a tylko zagubiła się o tem pamięć, gdy niemieckie parcie na wschód wynarodowiło bratnich nam Obotrytów i zachodnich Pomorzan, nas zaś samych odcięło od Bałtyku.

Dziś, gdy odzyskaliśmy doń dostęp, warto może przypomnieć, ile węzłów łączyło z morzem owe właśnie plemiona lechicko - pomorskie. Będą to — zastrzec się tu musimy — luźne jedynie wzmianki ze skandynawskich sag i niemieckich kronik, boć nie chodziło wówczas o utrwalenie pracy twórczej w pamięci potomnych. Niemniej, wzmianki te złożą się może na pewien obraz, dający pojęcie o tem, jak związany był z morzem Słowianin pomorski w pierwszych wiekach naszego historycznego już istnienia.

Sagi więc skandynawskie jeszcze wspominają o pomorskiej królewnie, Wiśnie, która, zdobywszy wyspę Skanję, poległa potem z ręki Starkatera. W r. 1135 książe pomorski Racibórz zdumiewa całą Europę, przewożąc na 250 okrętach po 44 ludzi i po 2 konie do najbogatszego z miast norweskich, Konghelli, którą zdobywa po zaciętej obronie. Była to — wtrąćmy tu nawiasem — pierwsza na Bałtyku flota, przewożąca konie razem z wojownikami; później dopiero za przykładem tym idą książęta duńscy.

Wcześniej jeszcze, bo w r. 1069 — jak się dowiadujemy o tem z kronik niemieckich — król „wschodnich, na morzu potężnych Lutyków" wysłał wojsko swe na pomoc duńskiemu Swenowi do Anglji, a źródła anglo - saksońskie przechowały nam nawet imię owego lutyckiego króla, Virthgeorn, w czem wolno się może domyślać jakiegoś potężnego Wrtgora, niby naszego legendarnego Waligóry.

Zażyłości też z morzem dowodzić może fakt, że gdy po r. 1160 najeźdźcy niemieccy opanowali ziemie Obotrytów, wówczas wojownicy zaszyli się w bory niedostępne, by stamtąd się bronić, kobiety zaś wraz z niezdolnymi do walki schroniły się na okręty, ufając bardziej morzu, niż mniej litościwym odeń najeźdźcom.

Wreszcie jednak najazdy niemieckie i duńskie zubożyły naszych pobratymców; musiały zubożeć, gdy taka np. Rugja, nawracana przez króla Waldemara duńskiego z samej tylko kontyny Świętowida wydała siedem drużyn równej miary, pełnych pieniędzy. Dowiadujemy się też z kronik, że Duńczycy po r. 1200, gdy dokonali już podboju Rugji i Pomorza, zaczynają się ubierać strojno, są bogaci, mają piękne konie, a w końcu posyłają synów na wykształcenie do Paryża. Głównym ich teraz dochodem — uzupełnia kronika— staje się połów śledzi, dawniejsze źródło zamożności słowiańskich mieszkańców Rugji.

Musiało to być istotnie jedno ze źródeł zamożności naszych dawnych współbraci, jeśli jeden z kronikarzy niemieckich mówi o Pomorzu, nie zubożałem jeszcze przez najazdy wrogów, iż „ryb jest tam obfitość, wszelką wiarę przechodząca, tak z morza, jak z wód, jezior i stawów — kupiłbyś wóz śledzi za denara, a to świeżych i tak pachnących i tłustych, żebyć mi zarzucał łakomstwo, gdybym powiedział, co myślę..." Pomińmy tu z wyliczenia tego wszelkie bogactwa, jakie ziemia dawała Pomorzanom, ale nie dziwmy się, że czerpiąc pełną dłonią zarówno z roli, lasów, jak i z morza, mogli oni już wówczas wznosić grody wspaniałe, jak Arkona i Karenża na Rugji, na których widok zdumienie ogarnia kronikarza niemieckiego.

Arkona była z wschodu, południa i północy otoczona morzem — mówi on nam — a założono ją na skałach takiej wysokości, że strzała z łuku jej nie dosięgła; Karenza zaś, zewsząd otoczona moczarami, przez które jedno tylko przejście do bramy miejskiej wiodło, tak była wówczas — w drugiej połowie 12-go wieku — przepełniona zabudowaniami, „że kamień, rzucony przez wały, nie padłby na gołą ziemię". Domy mieszkalne piętrzyły się w trzech oddziałach do góry — zdumiewa się wreszcie kronikarz, który w Niemczech piętrowych domów jeszcze nie mógł był poznać — a ludności było mnóstwo ogromne.

Inny z kronikarzy zachwyca się główną z świątyń pańskich w Szczecinie, z pierwszej połowy 12-go stulecia. „Założona ona była ze starannością i sztuką podziwienia godną, gdyż miała rzeźby na wewnątrz i na zewnątrz, wizerunki ludzi, ptaków i zwierząt, tak wiernie oddanych w swych właściwościach, iżbyś sądził, że oddychają i żyją.

Dodajmy wreszcie, że owa wysoka kultura ówczesnych Słowian pomorskich, wypływająca z dobrobytu, jaki w pewnej mierze morzu niewątpliwie zawdzięczali, — wiązała się z wysokiem zrozumieniem etyki ludzkiej. „Taka zaś panuje szczerość i towarzyskość między tubylcami — mówią o tych samych Pomorzanach kronikarze niemieccy, — iż nie wiedząc, co to jest złodziejstwo, wcale nie mają skrzyń do zamykania".

Wróćmy przecież do sprawy, jaka nas głównie tu obchodzi, by stwierdzić za prof. Fr. W. Bartholdem, autorem „Geschichte der deutschen Hansa", *) że nie Niemcy, ani Duńczycy zaprowadzili pierwsi żeglugę na morzu Północnem i Bałtyckiem, ani nie zawarli pierwsi stosunków ze Skandynawją, lecz że uczynili to już w czasach przedhistorycznych Słowianie, nauczyciele — zdaniem niemieckiego profesora — zarówno Duńczyków jak i Niemców w sztuce żeglarskiej. Związek miast wendyjskich, a więc staro-słowiańskich, opanowanych i wynarodowionych później przez niemieckich najeźdźców, był pierwszym zawiązkiem owej Hanzy, która, powstawszy rzekomo w 14-tym wieku, na cały czas ówczesny rozsławiła imię germańskiego kupca i żeglarza. Istotnie, z podbojem słowiańskiego Pomorza, od Elby po Wisłę, pierwsze zniemczyły się miasta, ale długo jeszcze po ich germanizacji w spisach imion i nazwisk członków związku napotykamy imiona i nazwiska bogatych kupców słowiańskich, a miasta same, należące do związku handlowo-żeglarskiego, zachowują nazwą „miast wendyjskich", dzięki temu tylko mogąc korzystać z przywilejów, oddawna im nadanych. Jeszcze w r. 1283 w tej właśnie formie, nadaje im król duński Eryk obszerne prawa wolnego handlu.

*

Wszystko to poszło w zapomnienie. Najeźdźcy niemieccy zagrabili ziemie wolnych Słowian lechicko-pomorskich od Elby, poza Odrę i poza ujście Wisły; Duńczycy zniszczyli potężne niegdyś floty Rugjan i Pomorzan, odbierając im poważne — jak o tem już była mowa — źródła dochodu. Zabór przecież duński na ziemiach słowiańskich nie trwał długo; wyparł go stamtąd potężniejszy, wszystko chłonący zalew niemiecki, dążący dziś do związania w jedną całość zagrabionego nam i zniemczonego zachodniego Pomorza z wyspą niemiecką, powstałą na cmentarzysku pogańskich Prusów.

Propaganda Niemiec dzisiejszych, wyciągająca nigdy niesyte dłonie po ów wąski szmat Pomorza, jaki się ostał przed zalewem germanizacji, nietylko chce nas odciąć raz nazawsze od wybrzeża Bałtyku. Chciałaby ponadto wmówić w cały świat, a i w nas samych, że oni to, Niemcy, przynieśli z sobą — wraz z chrześcijaństwem — wszelką umiejętność, kulturę i cywilizację pogańskim, półdzikim może plemionom Słowian. Było przecież wręcz odwrotnie; z najściem niemieckiem dopiero, szerzyły się kradzieże, mord i łupiestwo, a w krew wynaradawianych plemion lechickich sączył się zwolna, rok za rokiem, jad nienawiści ku ich najbliższym współbraciom Polakom.

Tych kilka słów przypomnienia, tych kilka faktów, zaczerpniętych z najwiarygodniejszych, bo niemieckich źródeł, przyda się może zarówno im, jak i nam samym.

*) Wydana w Lipsku, w r. 1854.

Kolej teraz na „Dar Warszawy"...

(G) Trzy lata temu: mały pokoik, w nim dwa biurka i tyleż krzeseł. Interesantów, z braku miejsca przyjmuje się w... przedpokoju. Na jedynej, wypożyczonej skądciś maszynie do pisania, drukuje się całą korespondencję. Na każdym kroku trudności, przeciwieństwa, brak zrozumienia, kłopoty finansowe.

Dzisiaj: piękny, wielki, nowoczesny okręt kołysze się dumnie na polskich wodach. Coraz to, okrywszy się po wierzchołki masztów bielą żagli, wypływa w dal, niosąc banderę polską na dalekie morza. „Kto ma flotę panuje nad handlem, a kto panuje nad handlem — bogactwa całego świata do siebie zgarnia.

Dawny „Prinz Eitel Friedrich" — dzisiaj „Dar Pomorza", zakupiony ze składek zebranych przez Pomorski Oddział Komitetu Floty Narodowej, jest jednym z najpiękniejszych okrętów szkolnych świata. Pływają na nim uczniowie Państwowej Szkoły Morskiej (marynarka handlowa) — z których później rekrutować się będą nasi porucznicy i kapitanowie wielkiej żeglugi.

I wszystko to stało się dzieki energji i niezmordowanej działalności jednego właściwie człowieka: inicjatora, założyciela i sekretarza generalnego Komitetu Floty Narodowej — gen. Maryusza Zaruskiego. On to potrafił tchnąć w swych współpracowników, ba w szerokie masy społeczeństwa, chęć czynu i zamiłowanie do spraw z morzem związanych.

Nieustając w swej działalności, Komitet Floty Narodowej przystąpił do zorganizowania zbiórek na dalsze okręty. Jeden po drugim powstają oddziały, komitety wojewódzkie, mnożą się zapisy na nowe jednostki. Każde większe miasto, każda dzielnica chce mieć swój „Dar".



Dowódca „Daru Pomorza".



Prace przy linach. (U dołu). Piękny żaglowiec „Dar Pomorza". Wyciąganie kotwicy.

Stolica oczywiście nie może pozostać w tyle. Ofiary na „Dar Warszawy" wpływają też obficie do stołecznego komitetu. Nie tak jednak obficie, jakby się po przeszło miljonowem mieście spodziewać należało.

Nic dziwnego — Warszawa jest daleko od morza, a nie każdy obywatel ma w sobie dostateczną dozę zdrowego rozsądku, aby uprzytomnić sobie, że przecież jego przyszłość, jego dobrobyt od morza tego zależą. To też czasby już był, aby świadomość wagi spraw morskich ogarnęła wszystkie sfery i aby nikogo nie zabrakło w szeregu ofiarodawców. I tak już dziwnem się wydaje, że Pomorze wyprzedziło stolicę. Warszawo — czy ci nie wstyd?

I jeszcze jeden sekret. W poczuciu konieczności obrony polskiego Pomorza przed zakusami naszych wrogów, w zrozumieniu faktu, że marynarka wojenna jest najwidoczniejszym czynnikiem siły i suwerenności państwa, stołeczny Komitet Floty Narodowej ma zamiar za zebrane w stolicy pieniądze ufundować szkolny okręt dla marynarki wojennej. Odnośne pertraktacje są już w toku i liczymy, że niebawem „Dar Pomorza", otrzyma w „Darze Warszawy" towarzysza godnego.



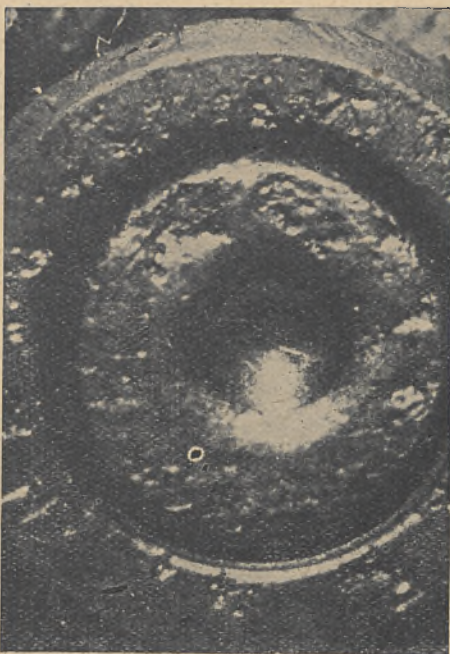




J. MISIEWICZ.

Kula--jako świadek zabójstwa

O ile nie są nowością próby udowodnienia winy podejrzanemu o zabójstwo drogą porównania kuli, znalezionej w ciele ofiary lub wogóle na miejscu przestępstwa — z bronią, wykrytą u poszlakowanego, o tyle stosunkowo niedawne jest oparcie tego rodzaju badań porównawczych na podstawach naukowych. Do tego czasu badanie sprowadzało się naogół do określenia, jakiego systemu i kalibru mogła być broń, z której dana kula została wystrzelona. Przypuśćmy, że kula odpowiadała systemowi i kalibrowi broni, znalezionej u podejrzanego. Dostarczało to przeciwko niemu jeszcze jednej poszlaki, nie dawało jednak dowodu winy. Taki bowiem rezultat porównania upoważniał tylko do wniosku, że kula mogła być wystrzelona z broni, znalezionej u podejrzanego, nie dawał jednak pewności, że strzał pochodził z tego właśnie egzemplarza broni, zważywszy, że setki, tysiące jemu podobnych pod względem systemu i kalibru znajdują się w obiegu. Opieranie się w tych warunkach na wyniku badania, w dodatku przeprowadzanego często przez zwykłych rusznikarzy, podnoszonych w tym celu z konieczności do godności ekspertów, było bardzo ryzykowne. Klasycznym tego przykładem może służyć wypadek, jaki miał miejsce w Ameryce, w pobliżu Orleans.

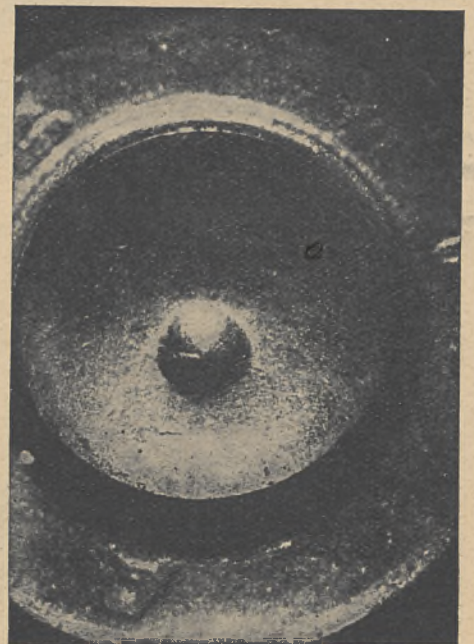


Zdjęcie dna gilzy, znalezionej na miejscu zabójstwa małżonków Fawrelów, pod Warszawa: wybitne chropowatości są śladem trzona zamkowego, który pozostawia na dnie gilzy swój obraz wskutek ciśnięcia nań gilzy, cofającej się pod naporem gazów, powstających po strzale.

W dniu 23 marca 1915 r. znaleziono bez życia właściciela folwarku, Falpsa, oraz jego gospodynię, Małgorzatę Wolcoff. Jak wynikało z kul, znalezionych w ciałach ofiar, oboje zostali zabici z rewolweru kalibru 22. Na tej podstawie dokonano aresztowania szeregu mężczyzn, posiadających broń tego kalibru. Pomimo to sprawa nie posunęła się ani o krok naprzód, dopóki nie sprowadzono dwu prywatnych detektywów, którzy aresztowali Mella Greena, będącego robotnikiem zabitego. Słuszność tego kroku poparli detektywi znalezieniem u oskarżonego rewolweru kalibru 22, oraz podpisanem przezeń zeznaniem, w którem przyznawał się, że zabójstwa dokonał wspólnie ze swym szwagrem, Karolem Stilauem, którego wskutek tego również aresztowano. W trakcie śledztwa wyszło jednak na jaw, że Green, znany powszechnie jako umysłowo upośledzony, podpisał zeznanie jedynie pod wpływem gróźb detektywów. Pomimo to sąd wydał wyrok skazujący, a to na podstawie opinji „biegłego", który oprócz zgodności systemu i kalibru rewolweru oraz kuli, dopatrzył się jeszcze jakichś charakterystycznych zader w lufie rewolweru i odpowiadającym im jakoby rys na znalezionych kulach. „Znawcę" tego, zapewne jakiegoś Bogu ducha winnego rusznikarza, nie powstrzymał w zapędzie nawet sprzeciw obrony, która podniosła wątpliwość co do wartości i siły przebojowej tak starego i bardzo zaniedbanego rewolweru, jaki znaleziono u oskarżonego — obstawał on przy swojem. W rezultacie skazano Greena na 20 lat ciężkiego więzienia, Stilaua zaś na karę śmierci. Adwokat jednak, który prowadził sprawę w charakterze przydzielonej mu z urzędu, nie dał za wygraną. Przekonany o niewinności podsądnych, zdołał zainteresować sprawą pewną organizację społeczną, która postawiła sobie za cel zwalczanie kary śmierci. Organizacji tej, przy pomocy wytrawnych detektywów, udało się dowieść, że w przeddzień zabójstwa Falpsa widziano w okolicy dwu znanych rabusiów, O'Konnela i Kingo, którzy po aresztowaniu przyznali się do winy. Pozatem zarząd organizacji zwrócił się do znanego kryminologa, Karola White'a, który, dokonawszy doświadczeń z rewolwerem, znalezionym u Stilaua, ustalił, że była to broń zupełnie zanieczyszczona i nieużywana co najmniej 5 lat oraz że gazy wybuchowe ulatniały się na wszystkie strony, wskutek czego pocisk nie miał dostatecznej siły przebojowej. Na skutek takiego obrotu sprawy Green i Stilau zostali uniewinnieni, natomiast właściwi sprawcy, stawieni przed sądem, który na O'Konnela wydał wyrok kary śmierci, na Kinga zaś 20 lat więzienia.

Głośne to w swoim czasie wydarzenie uprzytomniło Whitemu w całej swej jaskrawości, jak kruche są podstawy, na których się opierały ówczesne ekspertyzy broni i jakich nieszczęsnych skutków mogą być przez to przyczyną. Stało się to też dla White'a bodźcem do poświęcenia się gruntownym badaniom nad bronią palną wogóle, a identyfikacji pocisków i broni, z której, według domniemania, pocisk został wystrzelony, w szczególności. Zapewne, że i przed Whitem zajmowano się tem zagadnieniem w sposób naukowy, jednak badania te szerszych kręgów nie zatoczyły. Natomiast prace White'a zapoczątkowały w sposób zdecydowany nowy dział nauki, który dla celów śledczych okazał się w bardzo wielu wypadkach wprost nieoceniony, a którego stan obecny przedstawia się następująco:

Współczesna broń palna, szczególniej zaś automatyczna, jest zbyt powszechnie znana, aby trzeba było rozwodzić się nad szczegółami jej konstrukcji. Wszak powszechnie wiadomo, że broń automatyczna jest gwintowana, co sprawia, że wewnątrz lufy znajduje się pewna ilość brózd, czyli rowów, oraz pól czyli występów. Pomimo jednostajności, właściwej wyrobom fabrycznym, na brózdach tych i polach znajdują się pewne indywidualne dla każdego egzemplarza rysy i zadry, będące śladami po świdrze, który borował lufę, na przyrządach do polerowania i t. d. Te cechy indywidualne wnę-



Zdjęcie dna gilzy, znalezionej na miejscu zabójstwa Fawrelów: ponieważ pochodziła z niewypału, przeto nie widać chropowatych znamion indywidualnych, na podstawie których możnaby ustalić użycie jednego i tego samego rewolweru przy obu przestępstwach.

trza lufy będą się mnożyć, w miarę używania broni, a to szczególniej od działania przyrządów, używanych do czyszczenia oraz rdzy. Otóż siła, z jaką podczas strzału wypchnięty zostaje pocisk przez mniejszą odeń lufę, sprawia, że wszystkie indywidualne znaki wnętrza lufy odbiją się na pocisku w sposób odpowiednio charakterystyczny dla danego egzemplarza broni. Przejdźmy teraz do łuski, czyli gilzy naboju, pozostałej po strzale w lufie i następnie automatycznie wyrzuconej z pistoletu. Znajdujemy między innemi na jej dnie ślady uderzenia iglicy, która strzał spowodowała oraz odcisk przedniej części zamku, pochodzący z tego momentu, kiedy gilza cofa się po strzale gwałtownie w tył (ku zamkowi), aby następnie zostać wyrzuconą z pistoletu. Z tych samych przyczyn, jak to było powiedziane w odniesieniu do samego pocisku, ślady pozostawione na gilzie, mają indywidualne cechy charakterystyczne, właściwe dla danej sztuki broni — a to tem więcej, że iglica i trzon zamkowy, po wykonaniu maszynowem, podlegają jeszcze wykończeniu ręcznemu.

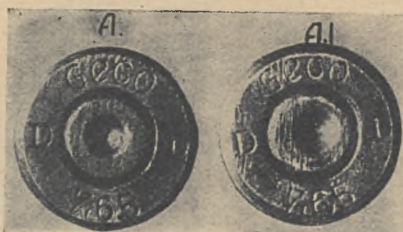
Z tego, w sposób oczywisty, wynika, że mając kulę i broń, co do której istnieje przypuszczenie, że dana kula została z niej wystrzelona, wystarczy dokonanie strzału doświadczalnego, aby drogą porównania znaków charakterystycznych kuli morderczej i otrzymanej ze strzału doświadczalnego stwierdzić z całą pewnością, że strzał morderczy dany był z badanego egzemplarza broni, bądź też z innego. Oczywiście, że nie mówiąc już o precyzyjności badania laboratoryjnego, warunkiem niezbędnym jest, aby kule nie były zdeformowane oraz aby badanie odbyło się możliwie niedługo po zabójstwie, gdyż w przeciwnym razie broń może w międzyczasie nabyć szereg nowych wybitnych znamion charakterystycznych. Najważniejsze jednak, aby można było postawić tezę, że niema dwu egzemplarzy broni, których cechy charakterystyczne byłyby identyczne.

Jeśli chodzi o broń dłużej używaną, to słuszność tej tezy jest oczywista: stosownie do różnej częstokrotności strzelania, różnorodnej staranności konserwowania, właściwej różnym ludziom, wypadkowych zdefektowań, poprawek reparacyjnych i t. d. — poszczególne sztuki broni nabywają znamion indywidualnych, coraz bardziej różniących się od innych egzemplarzy broni. Jednak teza indywidualności wytrzymuje próbę i w odniesieniu do broni zupełnie nowej, jak to wykazało przed dwoma laty laboratorjum policyjne, mieszczące się przy Centrali Służby Śledczej w Warszawie, na której czele stoi nadinspektor dr. L. Nagler. W laboratorjum tem, kierownik jego, podinspektor Piątkiewicz, poddał badaniom trzy pary pistoletów automatycznych (Mauser 7,65, Browning 7,65 i Browning 6,35), zupełnie nowych, pochodzących wprost z fabryki; wybrane zostały przytem takie pary, których egzemplarze zaopatrzone były w kolejno po sobie następujące numery fabryczne, co pozwalało mniemać, że sztuki te wykonane zostały jeśli nie bezpośrednio jedna po drugiej, to w każdym razie w bardzo krótkim odstępie czasu, a więc w warunkach możliwie jednakowych. Pomimo takiego rozmyślnego nagromadzenia warunków, nieprzyjaznych dla tezy indywidualności, badanie kul, wystrzelonych z powyższych pistoletów, wykazały w sposób niezaprzeczony wybitne różnice indywidualne.

Jednak sama słuszność tezy, że niema dwu sztuk broni, któreby posiadały identyczne cechy charakterystyczne, nie wystarczałaby dla celów praktycznych. W parze z tem musi iść odpowiednio pomyślana metoda badań, jakim się poddają kule dla stwierdzenia, czy była ona wystrzelona z podejrzanej broni. Musi to być metoda niezwykle precyzyjna, jeśli się zważy, że porównaniu podlegają tu nadzwyczaj drobne szczegóły, które na oko nie różnią się między sobą, bądź też są zupełnie niewidoczne. To też współczesna technika badań i przyrządy do tego celu używane, doprowadzone zostały do takiego poziomu subtelności, że o jakichś pomyłkach nie może być mowy. Przypatrzmy się trochę bliżej tej technice.

Do laboratorjum policyjnego przysłana została kula i gilza oraz podejrzana sztuka broni. Już od momentu wysłania tych dowodów rzeczowych rozpoczyna się wprost pedantyczna dbałość, jaką się otacza każdy przejaw procesu badania porównawczego: kula zostaje delikatnie posmarowana waseliną i włożona do pudełeczka, wyłożonego watą; z podobną starannością odbywa się zapakowanie gilzy i broni.

(D. c. n.)



Nawet dwa zupełnie nowe rewolwery, jednakowego systemu i kalibru, w dodatku opatrzone kolejnemi numerami fabrycznemi, wykazują różnice indywidualne: wskazuje na to widoczne już na pierwszy rzut oka różnica wyglądu dna gilz, pochodzących ze strzału z obu tych rewolwerów.



Rysunek obrazujący rozpłaszczanie płaszcza pocisku dla badania laboratoryjnego.



Rysunek obrazujący przygotowanie kuli do badania laboratoryjnego.

M. B. LEPECKI.

W kraju kokosów i bananów

W mieście Colon, nad kanałem Panamskim, spotkałem pewnego razu człowieka, mówiącego po polsku. Był to robotnik, Litwin. Nazywał się Matulajtis.

— Skąd pan, panie Matulajtis, przywędrował na ten „kraj świata"? — zapytałem go zaraz na wstępie.

Litwin spojrzał na mnie melancholijnie.

— Bieda, panie — rzekł — wygnała mnie z nad Niemna.

— Ale dlaczego aż tutaj, do Panamy?

Matulajtis wzruszył ramionami.

— A czy to nie wszystko jedno, gdzie jeść chleb wygnańca? — odpowiedział mi pytaniem na pytanie.

Przyznałem mu w duchu rację. Na wychodźctwie wszędzie chleb gorzki i jednakowa tęsknota żre serce.

Przez długą chwilę piliśmy w milczeniu napółzamrożone mleko z kokosów.

— W Panamie nie jest jeszcze tak źle — odezwał się Litwin po chwili — gorzej było w Hondurasie.

— Gdzie?

— W Hondurasie, nad zatoką Meksykańską.

Przez dobre dwie godziny opowiadał mi Matulajtis o tym kraju dziwacznym, w którym, co później stwierdziłem osobiście, nie ma rządu, dróg, policji, ani żadnych urządzeń, jakie w stronach jako tako cywilizowanych przywykliśmy widywać.

— Pracowałem tam — mówił — przez trzy miesiące, jako drwal. W czasie tego krótkiego czasu byłem jedenaście razy świadkiem bójek, z których wszystkie skończyły się rozlewem krwi.

Opowiadanie to wzbudziło we mnie chęć dotarcia do tego oryginalnego kraju i stwierdzenia naocznie prawdziwości słów pobratymca litewskiego. To też w dalszej podróży, zamiast udać się bezpośrednio z Nicaragui przez port Puerto Limon w Costa Rica'e do Guatemali, jak to miałem zamiar zrobić poprzednio, zboczyłem nieco i po kilku dniach różnych perypetyj dotarłem do puszcz i miasteczek hondureńskich.

Dla niewtajemniczonych zaznaczam, że Honduras leży na przesmyku Panamskim, mierzy 180 tysięcy kilometrów kwadratowych powierzchni i liczy 780 tysięcy ludności. Ponadto, jest niepodległy, posiada własnego prezydenta, własną politykę zagraniczną i własne kłopoty z parlamentem. Jego moneta stoi dobrze, aczkolwiek nazywa się *lempira*. Stolica o indyjskiej nazwie, Tegucigalpa, jest sobie miłem i cichem miasteczkiem. Spokoju tego nie mąci nigdy niemiły gwizd lokomotywy, ponieważ szczęśliwa stolica Hondurasu nie *odkuła się* jeszcze na kolej. A miała kiedyś ten zamiar. Już w roku 1870 rząd oddał w zastaw za pożyczkę na budowę kolei, zaciągniętą w Europie, wszystkie swoje lasy i budynki rządowe. Miało tych pieniędzy wystarczyć na połączenie Pacyfiku z Atlantykiem (337 km.), ale, niestety, wystarczyło tylko na 64 kilometry. Przez długi czas Honduras pozostawał bez lasów i budynków, ciesząc się posiadaniem drogi żelaznej, aż wreszcie przyszły dni chude i trzeba było oddać w zastaw również i kolej. Dzisiaj nie ma ani lasów, ani budynków, ani kolei. Wszystkiem tem dobrem administruje pewne wielkie towarzystwo z Bostonu, które handluje owocami i które nazywa się dźwięcznie *United Fruit Company*.

Jednak w tem niewielkiem ciele hondureńskiem panuje nielada duch. Co tam siły — brzmi jego hasło — grunt zamiary. Postępując w myśl tej idei, parlament uchwalił w roku 1924 nową konstytucję, w której znalazł się punkt niesłychanie ciekawy, który napewno nie figuruje w żadnej innej konstytucji świata. Oto, ni mniej ni więcej, tylko ta nowa konstytucja zobowiązuje każdy rząd, aby każdego roku wybudował 19,2 kilometra kolei. Niestety, piękna ta uchwała pozostała na papierze i od czasu jej uchwalenia, aż do dnia dzisiejszego nie wybudowano ani jednego kilometra drogi żelaznej, gwałcąc nieszczęsną konstytucję najzupełniej jawnie.



Jednak sny o kolejach, trapiące Hondureńczyków od tylu już lat, zdają się jednak wkrótce spełnić. Obecny prezydent, Mejia Colindres, wszedł w porozumienie z kilku domami handlowemi w Stanach Zjednoczonych, mającemi interesy z jego ojczyzną i wytłomaczył im, że kolej jest równie potrzebna Hondurasowi, jak i im. Yankesi długo namyślali się i naradzali, aż wreszcie przyznali mu rację. Prezydent Colindres ze swojej strony zakrzątnął się około podwyższenia podatków, o ogólną sumę miljona dolarów rocznie, które mają pójść również na budowę kolei. Amerykanie przeprowadzili już studja i orzekli, że cały brakujący odcinek (272 km.) mogą wybudować w przeciągu siedmiu lat. Prezydent Colindres prze do tego, aby za czasów jego prezydentury, która kończy się w roku 1933, wybudowano odcinek górski, mierzący 112 kilometrów. Od tego miejsca, zwanego Comayagua, do zatoki Fonseca nad Atlantykiem, rozciągają się wielkie równiny, na których budowa jest łatwa i nie wymagająca wielkich kosztów. Kolej ta byłaby trzecią linją transkontynentalną na przesmyku Panamskim. Pierwsza z nich, przecina Guatemalę i San Salvador, druga zaś republikę Panamę. Obie one są eksploatowane przez północno-amerykańskie towarzystwo *International Railways*.

Wprawdzie kłopoty państewka, liczącego zaledwie trzy ćwierci miljona ludności, wyglądają z daleka niepoważnie, a nawet wręcz komicznie, niemniej jednak te trzy ćwierci miljona ludzi bierze je tak, jak biorą swoje kłopoty obywatele największego mocarstwa. Wszystko tam dzieje się na małą skalę, ale ta skala widoczna jest jedynie z zewnątrz. O wewnątrz, przez oczy Hondureńczyków, wszystko wydaje się normalne.

Pomijając politykę, która zawsze jest rzeczą niezbyt miłą, podziwiać należy w Hondurasie niesłychane piękno krajobrazów i malowniczość strojów i obyczajów jego mieszkańców. Dzięki pracy *United Fruit Company*, która wprawdzie robi na tem interesy, cały kraj przemienił się w jeden olbrzymi sad. Ananasy, banany, pomarańcze, owoce masłowe, grape-fruit'y, cytryny, papaje, kokosy, mangi i wiele innych tworzą tu niezmierzone plantacje i gaje. Duże wymagania, stawiane przez bezkonkurencyjnego odbiorcę, uszlachetniły uprawę tych owoców i dzisiaj Honduras dostarcza wiele wyborowych gatunków. Specjalna flota, specjalnie zbudowanych okrętów, zwozi płody tego kraju, jak i innych państw centralno-





Piękność - Hondurasu.

Indjanie w strojach wojennych.

U góry, autor artykułu, sławny podróżnik polski, kpt. M. B. Lepecki.

i południowo - amerykańskich, do wielkich portów atlantyckich Stanów Zjednoczonych. Należy podziwiać tę olbrzymią organizację owocową za jej wielką precyzyjność i składność, ale trzebaby ją jednocześnie nienawidzieć za równie precyzyjny wyzysk, jaki w sposób naukowy i metodyczny eksploatuje pracę biednego metysa panamskiego. Ford, zarabiając, pamięta o tem, aby jego robotnicy mogli być odbiorcami; *United Fruit* dba tylko o to, aby *jej* metysi nie wymarli. To też ludność Hondurasu żyje nędznie. Całe jej szczęście, że jaskrawe słońce i bujna roślinność równikowa pokrywa tę nędzę złudną patyną, pod którą nawet dziury w dachach i ubraniach nabierają jakiegoś wdzięku i oryginalności.

DR. ROM.

Inteligencja pcheł

MOTTO:

Pchła to też stworzenie Boże.
I cóż, że inaczej żyć niemoże.

Al. Fredro.

Znawcy twierdzą, że pchły są najbardziej inteligentnemi ze wszystkich owadów. Przestanie wątpić w to każdy, kto chociaż raz w życiu zwiedzi, tak zwany „cyrk pcheł", jaki ujrzeć można czasem na wielu zabawach ludowych i w „Luna Parkach" wielkich stolic zachodniej Europy i Ameryki.

„Cyrk Pcheł" przedstawia się w postaci wielkiego stołu pokrytego białym papierem, na którym pchły pokazują najbardziej karkołomne ewolucje ekwilibrystyczne.

Bardziej ciekawem od cyrku jest rozmowa z „ujarzmicielem" czy też „pogromcą" tych stworzeń. Właściciel cyrku, będący jednocześnie hodowcą i poskramiaczem pcheł chętnie opowiada tysiące ciekawych zdarzeń z życia swoich pupilów. Oto np. mówi, że jeden z cyrków pcheł, znajdujących się w New Yorku, posiada około dwu tysięcy pcheł, z których każda ma nietylko swój numer, ale i swoje imię. Pchły, zdaniem jego, są obdarzone wprost olbrzymią siłą w stosunku do swej wielkości i gdyby człowiek miał podobną siłę, skakałby z łatwością chociażby z Warszawy na brzeg praski.

Właściciel pcheł żywi je wyłącznie swoją krwią, twierdząc, że jest już nieczuły na ukąszenia. Karmi je w obecności widzów, którzy machinalnie często drapią się, trwożliwie patrząc, czy który z owadów nie opuści stołu, na którym się odbywają popisy... To jednak się nie zdarza. Każda pchła ma misternie przypięty złoty drucik, niewidoczny prawie dla oka ludzkiego. Właściciel przedsiębiorstwa informuje wszystkich, że gatunek pcheł jego karmi się tylko krwią ludzką, pchły zaś pijące krew psią nie są inteligentne i nie nadają się do cyrku. Oczywiście nawet ludzkie pchły nie wszystkie są jednakowo inteligentne. Podczas, gdy jedne z nich w niezmiernie krótkim czasie uczą się skakania na trapezie, ciągnięcia drobnych przedmiotów, inne nie nadają się do cyrku.

Zaciekawieni widzowie używają powiększających szkieł, by przyjrzeć się tym sztukom.

Jak się odbywa przedstawienie?

Wyjmuje się pchły z pudełek z watą, w których są zamknięte. Przenosi się je następnie na stół, pokryty białym papierem, na którym znajdują się maleńkie wagoniki, ciężarki, huśtawki i piłki. Każde stworzenie przyczepione do takiego wózka, czy wagonika wielekroć razy większego od pchły, ciągnie go w kierunku czerwonej linji narysowanej na stole. Ustawione w jednym szeregu owady rozpoczynają wyścig. Właściciel pcheł, znając je dokładnie, wie która z nich jest najszybszą i najwcześniej dojdzie do mety.

Specjalnością znów innych jest pchanie przed sobą maleńkiej kulki, piłeczki i t. p. W specjalnem pudełeczku zamknięta jest pchła przybrana w małą sukienkę, która popisuje się tańcem przy akompanjamencie małego pudełeczka grającego.

Wiele osób, a zwłaszcza właściciele psów, którzy przypuszczają, że znajdą w tem źródło szalonych dochodów, interesuje się tresurą pcheł. Tak jednak nie jest, gdyż na 157 gatunków pcheł, jeden jedyny tylko, t. j. pcheł, żywiących się ludzką krwią, może nauczyć się karkołomnych sztuk.

Jedyną wadą pcheł, jest ich krótkie życie. Pchły żyją tylko około sześciu miesięcy. Mimo najlepszego odżywiania i troskliwej opieki nie udało się ich życia przedłużyć. Dlatego też profesor tresury tych owadów musi ciągle starać się o nowe stworzenia, tracąc wiele czasu na ich naukę. A śmierć pchły jest dla niego bolesną stratą.

Okładkę projektował
JERZY RADLICZ.

JULJUSZ WIRSKI.

(Dokończenie)



— Co pan robi z pieniędzmi — do djabła!— zwrócił się raz finansista do doktora. — Płacę przecież panu rocznie aż sto tysięcy!

Doktór milczy. W milczeniu podsuwa czek na miljon dolarów. Stoltzman podpisuje, owszem, ale gniewa się bardzo... „Do czego to podobne?! Trust of Stalke wypuścił nowe maszyny... Luksus, cacka! Dlaczego doktór chodzisz piechotą? — zżyma się gruby Izaak.

Doktór wziął czek i nie dziękując wyszedł. Zaś mister Stoltzman zaniepokoił się poważnie: „Jeszcze mu pod nosem założy nową „Kompanję Zdrowia"! Wtedy, jeśli nie ruina, to w każdym razie — skandal. Tytuł „króla zdrowia" oraz „dobroczyńcy" djabli wezmą!...

Lecz puszczony w ruch sztab wywiadowców uspokoił obawy pana Izaaka. Doktór nie zakładał nowego przedsiębiorstwa. Przecież przez lat trzydzieści ginęli od kul, lub trucizny ludzie pracy. Zostawały sieroty. Miasto opiekowało się, owszem, ale w myśl zasad nowych — o tyle o ile... Doktór zakładał sierocińce, warsztaty pracy ręcznej, kąpieliska.

— Wstyd! — szepnął naczelny administrator, — przecież to my właściwie...

I posypały się ofiary. Jednocześnie — prasa! Narobiły pismaki poczciwe krzyku: — bo doktór nietylko nas uzdrawia, ale i wyręcza w obowiązkach!

Uspokoił się już zupełnie Izaak Stoltzman.

Lecz wierny murzyn Jim dostał nowe rozkazy:

Odtąd, w każdym dnia momencie śledzą doktora oczy Jim'a. Doktór, zajęty swemi sprawami, nic o tem nie wie. Nie wie naprzykład tego, że kiedy w zacisznym gabinecie modli się o moc, murzyn Jim, ukryty za kotarą, śledzi go przerażonemi oczami. Wieczorem zaś relacja u dwustu kilo żywej wagi, recte Stoltzmana.

— Doktór siedzi długo z twarzą ukrytą w dłoniach i coś szepce.

— Nie słyszałeś, Jim?

— Niewiele. Najczęściej powtarza słowa: Panie, Panie, daj mi... — ostatnie słowo wymawia szeptem.

— Pewnie chodzi mu o podwyżkę — zamyśla się Stoltzman. — All right! — zrobione...

I z National Bank podnoszą się nowe sumy na pensję dla doktora, który przecież nie o podwyżce myśli i nie o Stoltzmanie w zacisznym, samotnym gabinecie...

Wśród licznych pacjentów i pacjentek zdarzają się ludzie ciekawi. Nie brak przyjaciół i wielbicieli. Również, rzecz prosta, wielbicielek. Kochają się piękne i brzydkie ladys w mocy doktora. Zwłaszcza jedna: jest maleńka, kapryśna, słaba... Dlatego ubóstwia siłę.

Doktór wieczorami zamyśla się ciężko. Maleńka miss jest urocza... Byłoby wielkiem szczęściem schować zmęczoną twarz „klowna mocy" w różowe konchy dłoniek... I nie kłamać. I, na miłość boską, nie kłamać... Być sobą...

I stało się, że różowe płatki rąk położyła na spieczonych z tęsknoty wargach miłość darząca.

Doktór szczęśliwy. Jego dusza ustokrotniła się, spotężniała. Aż bije od niego łuna szczerej mocy. Stoltzman coraz częściej zaciera ręce: — zostaniemy prezydentem, Jim.

— O, yes!

Przecież o maleńkiej miss, różowym darze losu nikt nie wie. Szczęście na czole doktora — zwykły sygnał ofiary. Tak tłumaczą możni neurastenicy, którym ciągle potrzeba pomocy. Natomiast sama miss: — niezadowolona z czegoś i chmurna. Jej ubóstwiany powiedział wczoraj, że jest dla niego źródłem błogosławionem. „Dlaczego ona? Przecież to jego obowiązek, za który mu płacą!..."

I chwytne uszy Jima słyszą za ciężką kotarą rozmowę:

— Jesteś zdenerwowana, maleńka?

— Tak. Zadużo odemnie żądasz.

— Dziecko kochane, mam chwile smutku i chwile zmęczenia... Wtedy chcę długo, długo, całować twoje kolana... Potrzeba mi wielkiego uczucia, któreby nie płynęło z podziwu, a wprost z serca..

— Śmieszne!

I miss, różowa i pachnąca miss, niecierpliwie zapina perłowe rękawiczki: — dowidzenia Strongman. Mam wrażenie, że kochałam błazna. Okłamałeś mnie, mocny człowieku!...

Doktór blednie:

— Nie, ja nie kłamałem. Ja sądzę, że najmocniejszy człowiek ma — serce...

— Och, deklamacja! Proszę być gentlemanem i zapomnieć o mojem istnieniu...

— — — — — — — — — —

— Co robi Strongman? — pyta wieczorami ostrożny master Stoltzman.

— Panie, master Strongman klęczy u nóg małej miss, której twarzy nie mogę dojrzeć.

— Pozatem?

— Pozatem, panie, kiedy mała miss wychodzi, doktór... płacze!

— Płacze?!

— Tak... A potem długo i często powtarza: — Panie, Panie, dodaj mi... — ostatnie słowo mówi, jak zawsze, szeptem.

— Niemożliwe! — protestuje Izaak Stoltzman — płacę mu królewską pensję...

A po chwili:

— Uważaj dobrze. I milcz, Jim! O tem, że mocny doktór jest histeryczną babą nie ma nikt wiedzieć. To bankructwo! Zrozumiano?

— O, yes!

Tymczasem odeszła różowo-złota pani. Jim pomimo psi węch nic nie widzi i nic nie słyszy. Zato w Mieście żywa radość. Ilość samobójców spadła do zera. Komitet municypalny postanowił:

— Należy urządzić uroczystą Akademję na cześć dobroczyńcy ludzkości doktora Strongmana.

W Mieście, o którem mowa, decyzja szybko zapada i jeszcze szybciej zostaje wykonywana! W dwa tygodnie potem osiem elektrowni pracowało wszystkiemi dynamo, aby dostarczyć prądu do niebywałej iluminacji. Z pięciu części świata zjadą się przecież ludzie uzdrowieni. Miasto nie poprzestanie na obchodzie. Tam, gdzie pierwszy neurastenik rozmawiał z doktorem należy wmurować tablice. Pozatem trzydzieści miljonów dolarów, jako odszkodowanie dla fabrykantów automatów strzelających i aptekarzy. Nikt się bowiem nie strzela i nikt nie truje. Co gorsza, nie strzela też nikt do innych... Stanowczo, panowie z Liège i Essen powinni być wynagrodzeni!

Wreszcie nadszedł dzień uroczysty. Panowie delegacja udają się do mieszkania doktora. Doktora niema. Wszechwiedzący murzyn Jim otrzymał rozkaz wykopania Strongmana choćby z pod ziemi.

Tymczasem delegacja czeka i zachwyca się z balkonu miljonowym tłumem. Kipi tam życie i radość. Podziemny rytm pracy nieustającej ma wyrwany zatruty kieł: pośpiech gorączki. Wszystko to sprawił on — Doktór!

Wraca zdyszany Jim. Jest nie blady, bo murzyni nie blednią, — jest popielaty. Master Izaak Stoltzman rzuca mu pięciodolarowe havana:

— Co robi doktór? — pyta.

Jim patrzy w ziemię i nie łapie havana, które spada na głowy tłumów pod balkonem. Jim walczy ze wzruszeniem.

— Jim, czy ogłuchłeś? — gniewa się nagle Izaak Stoltzman, pytam przecież wyraźnie: — co robi doktór?

— O, master Izaak! — doktór mocno trzyma rewolwer i nie żyje...

TURNIEJ „7-miu DNI"

KTÓRA Z ARTYSTEK SCEN POLSKICH JEST NAJBARDZIEJ CZARUJĄCĄ?

WARUNKI KONKURSU.

Podobizny artystek, nadsyłane przez Czytelników, będą kolejno umieszczone w naszem piśmie. Po ukończeniu turnieju, w dn. 6 września, artystka, uznana za najbardziej czarującą, otrzyma cenną nagrodę w postaci

BONU NA PORTRET

wybitnego portrecisty Jana Rudnickiego.

Trzy następne panie otrzymają cenne upominki, a wreszcie pomiędzy panami, którzy głosowali na artystkę, która otrzyma pierwszą nagrodę, rozlosowany zostanie portret.

Głosy naszych czytelników

Dziwię się, że mogą jeszcze istnieć jakieś wątpliwości! — Tylko ona, zgrabna jak łania, z oczami, w których drzemie jakaś tajemnica, plastyczna w każdym ruchu i wyrazista w każdej intonacji, ona, która w zeszłym roku podczas występów „Gongu" i obecnie w „Ananasie" wysunęła się na czoło polskich artystek rewjowych, bijąc plastyką i inteligencją starsze koleżanki z innych teatrów, — słowem tylko Hanka Runowiecka powinna zdobyć palmę pierwszeństwa w tym konkursie.

Stanisław Bukacki

w imieniu grupy młodzieży.

Vera Bobrowska, łączy w sobie wdzięk angielskiej miss ze słoneczną promiennością polskiej wiochny, to też nie wyobrażam sobie niewiasty bardziej czarującej.

Stanisław N.

Piękny głosik, urocza twarzyczka — upajają, porywają, zachwycają i zniewalają do głosowania na Nelly Herten.

Jerzy Wilber.

Kupon № 10 do turnieju „7 DNI"

Wyciąć i załączyć do fotografji.



Hanka Runowiecka.



Vera Bobrowska. (fot. Dorys.)



Nelly Herten. (fot. Dorys.)

ZYGMUNT KAWECKI.



Vita somnium breve

(Życie to krótki sen — ale dużo spania)

Glossa informacyjna. Feljeton ten nie jest wycelowany w ludzi, spędzających noce bezsenne nad rozwiązaniem zagadnienia prohibicji i ascezy.

Trzeba raz nareszcie porozumieć się w sprawie najnaturalniejszej na świecie, a równocześnie jak najkapryśniejszej, najwymyślniejszej i mimo swej pozornej prostoty, jak najbardziej skomplikowanej.

A nawet *wypada* poświęcić feljeton, tak dobrze i tak regularnie płatny (bądź to z przodu, bądź z tyłu) — jak mój w *7 dniach* — sprawie szanownej, sprawie chronicznie aktualnej, to jest sprawie *połowy naszego całego życia* — czyli funkcji *spania.*

Moi drodzy, powiedźcie mi, jak lubicie przyszykowywać się do spania, układać poduszki i jaśki — podwijać kołdry — i wogóle *kokosić się* do spania — a powiem wam wasz charakter — pensję — długi — i stopień sklerozy.

Ale do rzeczy, bo byłby skandal, gdyby feljeton o spaniu, działał jako środek nasenny. Świat jest przewrotny, a więc na sen działają rzeczy wzniosłe i celebrowne, a nie tam jakieś sobie feljetoniki z glossami.

A propos!

Glossa zirytowana. Ten, psiakrew, redaktor, którego widziałem tak poważnym i redaktorskim, przy biurku, po niewyspanej nocy — powinien wszystkim cherlakom pożyczać swego zdrowia, jako rury do transfuzji krwi i substancyj wzmocnionych.

Lecz rozstrzygajmy i rozstrzygnijmy najważniejsze punkty zagadnienia spalnego:

a) dlaczego się śpi? —
b) sposoby spania —
c) pory spania —
d) miejsca spania —
e) zachowanie się i maniery przy spaniu —
f) sposoby na zaśnięcie —
g) co kto przesypia?... i te de.

A więc a) dla czego się śpi?

Śpi się dlatego, że człowiek nie może — poprostu — wytrzymać bezustannego życia, bezustannego bycia mądrym lub głupim — bezustannego kochania lub nienawidzenia — bezustannego odmykania drzwi komornikom i celnikom — bezustannej *tożsamości* i *tejsamości* żony, kochanki, rodziny i wszystkiego. Sen, a raczej *spanie*, zmienia nasz stosunek nawet do naszej własnej osoby, figury, twarzy, zmarszczek, włosów, płci, wreszcie do metafizyki i zachcianki wiecznego życia.

b) Sposoby spania.

Takie są sposoby spania: na wznak, na brzuchu, na pierwszym, drugim i trzecim boku, w kuczki, w obwarzanka, z kolanami pod brodą, z rękami i nogami rozsianemi na wszystkie cztery strony świata — z ustami roztwartymi i z ustami na „stul dziób" — z policzkami natłuszczonemi kremem lub zaduchem z knajpy — z rękawiczkami, bandażami, papilotami, plastrami, maskami, lub bez — z zębami złożonemi do uśmiechu, lub do szklaneczki — z tupetem na szafce nocnej, lub z tupetem do żony, która właśnie wróciła odświeżona, do nas, steranych życiem — i te pe...

c) Jakie są pozy spania?

Wszystkie pozy są do spania. Śpi się zawsze — a najsmaczniej wtedy, gdy na nas patrzą ludzie złośliwi — lub gdy od nas wymagają zdwojonej pracy, oraz strojonej intelligiencji — ludzie pretensjonalni.

d) Jakie są miejsca do spania

Takie, poczynając od najskromniejszych, a kończąc na najwyszukańszych: łóżko, tapczan, fotel, biurko, teatr, kino, odczyt, akademja.

e) Jakie są zachowania i maniery, stosowane przy spaniu?

Takie są maniery:

Chrapanie, świstanie jedną dziurką od nosa, albo obydwoma, bez wprowadzania w błąd co do natury i źródła dźwięku, lub z wprowadzaniem w gruby błąd — mówienie przez sen do żony jak do kochanki, śpiewanie przez sen ditto, uciekanie przez sen przed psem, latanie przez sen ponad ulicami, spadanie przez sen z aeroplanu, lub z aeroplanem, zaplątywanie nóg w kołdrę i prześcieradło — wrzeszczenie — gaszenie instynktownie pożaru — no i tak dalej...

Glossa sekretna. Mój przyjaciel, z którym mieszkałem dwa lata w jednym hotelu — i w jednym pokoju — ale dziękować Bogu nie w jednem łóżku—Stop!! — Bo to właściwie byłaby *glossa seksualna!*

f) Jakie są sposoby na zaśnięcie?

Czytanie mądrych książek — rachowanie do 99 i z powrotem, odsłanianie ciała w różnych częściach pejzażu anatomicznego, wystawianie go (tego landzaftu) na marznięcie — a potem ogrzewanie go — wstawanie i spacerowanie boso po materjałach twardych bądź też chropowatych — słuchanie w radio nauk etycznych — i komunikatów pat-etycznych — czekanie na telefon od przyjaciela, który poszedł z naszą żoną do teatru, a po teatrze miał dać znać, gdzie zjedzą kolację — a poza tego rodzaju czekaniem, spodziewanie się wogóle czegoś przyjemnego w dzień lub w nocy, od ludzi.

g) Co kto przesypia?

Każdy przesypia chętnie porę wstawania do biura — godzinę wyjazdu na letnisko do żony — datę płatności weksla — wielu przesypia swoje szczęście, wielu przesypia u siebie cudze kobiety — wielu natomiast *nie przesypia nigdy* swego *pecha* — i punktualnie zjawia się na własny ślub, na własny pogrzeb (w tem mu pomaga rodzina) — i na wyścigi — (w tem mu pomagają lombardy i lichwiarze).

*

Jeżeli prawdą jest, że sen jest *akontem, zaliczką* (lubię oba te słowa, poprostu, dźwiękowo) — otóż powtarzam, (bo któż nie lubi powtarzać zaliczek) — jeżeli sen jest forszusem, który płacimy śmierci, to ja znam takich, którzy nigdy ani grosza śmierci nie zaforszusowali — bo oni *już rodząc się* — zasnęli na całe swoje życie — i oddali Wieczności spalnej, odrazu, cały kapitał z procentami.

To znaczy: urodził się taki, potem wychowali i wyhodowali takiego — a on wciąż śpi, choć z otwartemi oczyma — i choć rusza nogami — potem wykształcili takiego — a on wciąż nocuje żywcem — potem wybrali takiego na profesora, radcę, ministra, posła, a on wciąż śpi, aż chrapie — choć z ust wychodzą mu słowa — a z biurka papiery.

Jeden tylko moment zdaje się ożywiać takiego morfeidalnego ananasa — to jest moment zgłaszania się do kasy po pobory.

Glossa ostrzegawcza. Z wyrazu „morfeidalny" możesz łatwo zrobić „hemoroidalny" — i już będziesz blizki zagadnień politycznych. Rób zręczny finał — i uciekaj od rzeczy wonnych.

*

Już możecie przestać czytać niniejszy feljeton — bo niema nic dalej.

W krótce rozpoczynamy druk powieści Mac Orlan'a p. t. „NOC MARJI CHANTAL". Fascynująca, sensacyjna treść tej powieści trzyma w napięciu uwagę czytelnika od pierwszej do ostatniej karty.

Nie będzie już na świecie brzydkich kobiet

Godzina ósma rano. Właścicielka i zarządzająca zakładu w jednej osobie, okrążona sztabem swych współpracowników, przegląda pocztę poranną. Cały stos listów na wytwornym papierze, uperfumowanych.

„Pani, w zeszłym roku ponosiłam często straty. Łzy, zmartwienia, bezsenne noce dokonały swego dzieła zniszczenia: postarzałam się w ostatnim roku o 10 lat. Jest mi tak ciężo. Słyszałam, że Pani dokonuje cudów. Może uda się wam przywrócić mi młodość i piękność?"

List wędruje z rąk właścicielki do sekretarki:

— Odpowiedź numer 3. Proszę wyznaczyć godzinę wizyty.

A oto następne pismo:

„Jestem aktorką — może widziała mnie Pani kiedyś na scenie? Mam lat 40 a muszę wyglądać na 18-letnią dziewczynę. Proszę zawiadomić mnie, czy mogę liczyć na pomoc ze stro ny Pani zakładu. Czy Pani rozumie, że dla mnie jest to kwestja życia i śmierci. Nie będę przecież grała ról „starszych pań", a brak mi sił aby porzucić deski sceniczne..."

Maszynistka wystukuje odpowiedź. Oczywiście twierdzącą, słowo „nie" nie egzystuje. Zakład gwarantuje swym klijentkom drugą młodość, urodę, powodzenie. Nie darmo na drzwiach pięknego domu widnieje marmurowa tablica z krótkim, choć pełnym treści napisem:

— Instytut piękności.

Paryż, ulica...

*

Godziny przyjęć rozpoczynają się o 10-ej zrana. Zarządzająca przyjmuje swe klijentki w gabinecie, urządzonym na wzór sali operacyjnej kliniki chirurgicznej. Kobiety przekraczają próg tego gabinetu z przerażeniem, wstydem, lecz pełne nieśmiałej nadzieji. Zaczynają swą spowiedź. Starzeje się, mąż zaniedbuje ją, boi się utracić jego miłość. Trzeba, koniecznie znowu odzyskać swą dawną urodę, czar młodych lat. Niech twarz będzie świeżą i piękną jak wprzód, ciało zgrabne, prężne...

Djagnoza krótka:

— Leczenie systemem B. 2. Elektryczny masaż. Kremy 8, 16 i 32. Mała operacyjka chirurgiczna i piers nabierze kszta'tów królowej piękności.

Klijentka płacze i śmieje się naprzemian z radości, całuje właścicielkę Instytutu i znika z rozradowaną twarzą. Od jutra zaczyna swą kurację.

Miejsce jej zajmuje dama, pragnąca pozbyć się zmarszczek pod oczami. Pacjentka zajmuje krzesło, na twarz jej padają silne promienie światła elektrycznego, asystentka uzbrojona w szkło powiększające bez litości wypatruje każdą zmarszczkę, każdą fałdę skóry.

— Jeżeli pani sobie życzy, za dwie godziny nie będzie śladu zmarszczek, odmłodnieje pani o 10 lat.

„Odmłodnieje o 10 lat". Któraż kobieta uchyli się od takiej propozycji?

Na scenie ukazuje się chirurg w towarzystwie dwóch pracowników. Dama kładzie się na stół operacyjny, poczem lekarz robi zastrzyk znieczulający pod skórę. Pomocnicy podają narzędzia chirurgiczne, lekarz szybko i zręcznie robi dwa cięcia na czole odmładzającej się pani, poczem usuwa 3 — 4 centymetry „zbytecznej" skóry, nakłada dwa małe szwy i operacja skończona. Po paru dniach najbardziej doświadczone oko nie ujrzy nic więcej prócz małej różowej szramki, która zresztą łatwo da się ukryć pod elegancką fryzurą.

Pacjentka bierze do ręki lusterko i wydaje okrzyk zdumienia. Skóra na twarzy gładka, elastyczna, zmarszczki zniknęły, jak zły sen, z opuchnięć pod oczami ani śladu. Czy nie warte to kilku tysięcy franków.

*

W najróżnorodniejszych „Instytucjach", „Akademjach", „Zakładach Piękności" Paryża codziennie odbywa się tysiące takich operacji. Z ciał ludzkich usuwa się całe pokłady tłuszczu, prostuje się nosy, wygładza zmarszki, wypełnia worki pod oczami, formuje się piersi i t. p. W poczekalniach tych instytucji można przejrzeć całe albumy takich cudownych transformacji. Fotografje pacjentek i pacjentów „przed" i „po" zabiegach. Między dwoma zdjęciami różnica zda się wynosi kilkanaście lat, podczas gdy ta druga fotografja robiona jest po paru dniach, czy nawet godzinach od operacji.

Klijentelę stanowią — rzecz zrozumiała — przeważnie kobiety i to nawet w latach bardzo podeszłych. Przykładem tego może służyć pewna tęga 65-letnia pani, która pewnego pięknego dnia zgłosiła się do jednego z instytutów piękności i wyraziła życzenie powrotu do stanu młodości. Dyrektorka zakładu i chirurg miejscowy spojrzeli na siebie ze zdziwieniem, a nawet przerażeniem... Twarz zniszczona zmarszczkami, opuchnięta, ciało starcze, nalane tłuszczem. Tem nie mniej zdecydowano zastosować najostrzejszą metodę leczenia.

— Gotowa jestem spełnić wszystkie wskazówki wasze, zastosować się do wszelkich przepisów — oświadczyła zdecydowanie starsza pani — i... zapłacić każdą żądaną sumę.

Rozpoczęła się kuracja. O godz. 7 zrana na czczo szklanka gorącej wody. Oczyszcza to żołądek i przywraca cerze świeże barwy. Dwadzieścia minut gimnastyki i plastyki, potem tańce akrobatyczne pod kierunkiem specjalistki. Gorące wanny z solą dla schudnięcia. Masaż godzinny przy pomocy metalowych i kauczukowych walców.

Po przejściu tej pierwszej „porcji" pacjentka zaczęła tracić już siły, ale dalsze próby dopiero czekały na staruszkę. W instytucie znajdował się wielki hermetycznie zamknięty dzwon, przez który przepływał dość silny prąd elektryczny. Do tego dwonu wprowadzano pacjentkę na przeciąg kilku minut i dopiero po wyjściu otrzymywała pierwsze śniadanie: kilka łyżek soku malinowego, listek sałaty, banan i parę łyków wody mineralnej. To wszystko.

Po takiem śniadaniu — dłuższy spacer, potem szklanka herbaty i sucharek. Od 5 — 7 gimnastyka, a obiad jeszcze lżejszy od śniadania, pół godzinki lekkiego masażu i spacer do łóżka.

Po dwóch tygodniach podobnych tortur, leczenie zostało zakończone. Starsza pani straciła 10 kilo żywej wagi. Ciało, po dłuższej wizycie na stole operacyjnym nabrało elastyczności. Chirurg zniszczył zmarszczki, a doświadczone asystenki dobrały odpowiednie pudry, róże i czernidła. W 40 roku życia kobieta ta nie była tak młodą i piękną, jak w 65...

Jednak takich amatorek, o podobnie silnej woli i wytrwałości jest bardzo nie wiele.

Lekarze, którzy poświęcili się specjalności odmładzania kobiet twierdzą, że niezadługo nie będzie już brzydkich kobiet:

„Możemy przy dzisiejszym stanie wiedzy usuwać wszystkie defekty zewnętrzne, a nawet w budowie ciała. „Eliksiry młodości" średniowiecza i starożytności zmieniły się teraz na zwykły nóż chirurgiczny i wytrawne ręce masażysty."

Instytuty piękności nie pogardzają jednak i dziś różnemi masażami, pudrami, eliksirami i t. p., lecz i tutaj nauka ma wiele do powiedzenia. Aby stworzyć jakiś nowy krem, niszczący naprzykład puch na twarzy lub nadający skórze gładkość — w specjalnych laboratorjach, przeprowadzane są setki prób i doświadczeń. Próby dokonywane są nawet na żywych „manekinach". W Paryżu są dziewczyny, które za opłatą kilkuset franków pozwalają sobie wcierać dzień w dzień różne kremy, szminki, aby instytut mógł naocznie przekonać się o ich wartości. Współcześni alchemicy niszczą młode twarze, aby odmładzać później stare...

Laboratorja i akademje piękności pracują od wczesnego ranka do późnej nocy: Tysiące, miljony kobiet całego świata pragną być piękne. Oddałyby wszystko, aby zachować młodość, urodę...

Lekarze mają rację: nadejdzie czas, gdy na ziemi nie będzie brydzkich, starych kobiet.

K.



Przyszła chluba naszej marynarki — tegoroczni absolwenci morskiej podchorążówki w chwili po otrzymaniu nominacji.

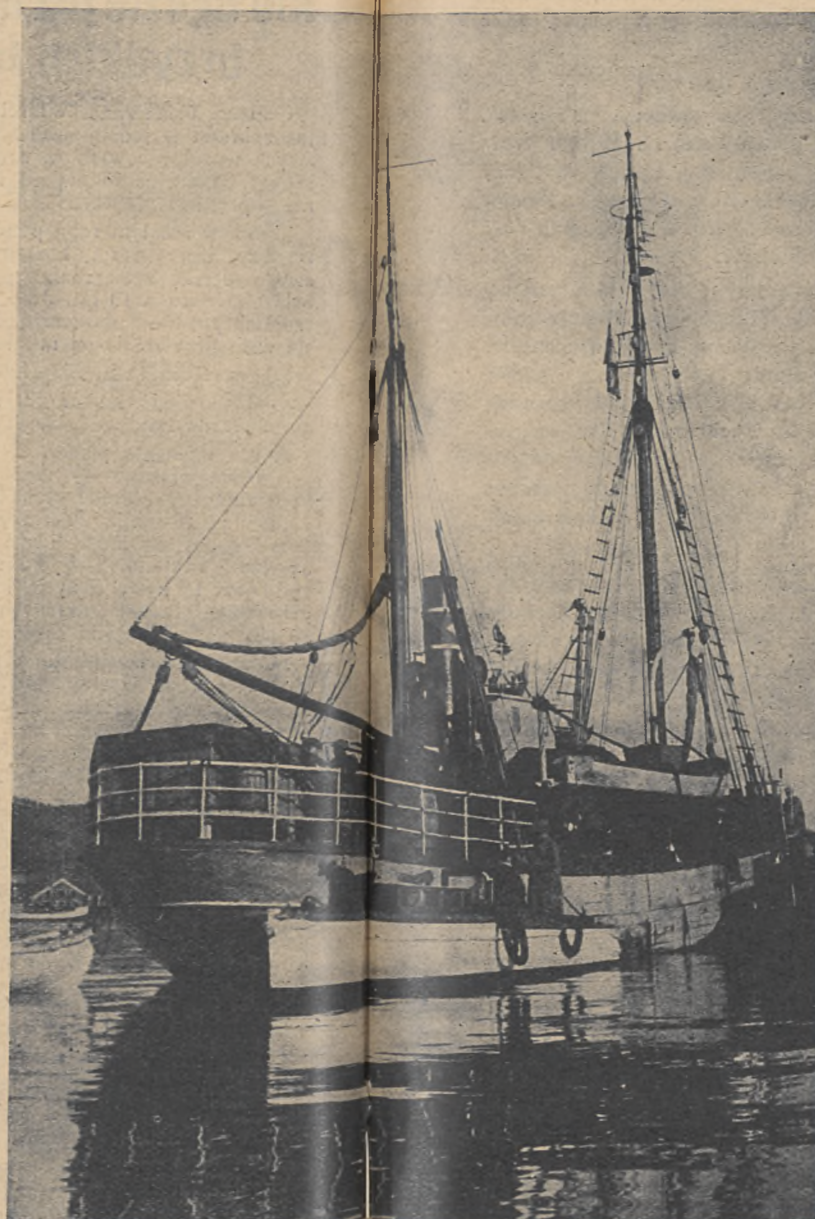
Co słychać na świecie

W momencie, gdy piszemy niniejsze, obrady genewskie nie rozpoczęły się jeszcze, wszystko więc, coby można o nich powiedzieć, będzie jeszcze tylko przewidywaniem, ale przewidywaniem opartem na nastrojach, jakie się już zaznaczyły wyraźnie.

Faktem więc, jak się zdaje już dzisiaj, niewątpliwym będzie to przedewszystkiem, że Niemcy — wbrew wszystkiemu, coby do niedawna było można — nie wystąpią z żadnym konkretnym wnioskiem rewizji traktatu wersalskiego, nawiązanym do głośnego już dziś artykułu 19 paktu Ligi.

Niedawno jeszcze owo wystąpienie zdawał się zapowiadać impetyczny i imperjalistyczny w przemówieniach swych p. minister Treviranus, którego, choć zabierał głos w sprawach resortu p. ministra Curtiusa, — nie hamował nikt z gabinetu Rzeszy. Pozwolono mu nawet, jeszcze w ostatnią niedzielę sierpnia, opłosić w prasie berlińskiej butną odpowiedź na artykuł b. prezydenta Francji Poincaré'go, gdzie czytaliśmy, że „jeśli dyskutowanie możliwości, udzielonych Niemcom artykułem 19, zagrażać ma pokojowi, to i Francuzi, którzy przed r. 1914 nie chcieli się wyrzec Alzacji i Lotaryngji, byli również burzycielami pokoju.“

Pomińmy tu fałszowanie historji — i nietylko historji — w artykule p. Treviranusa, by stwierdzić, iż nagle ów wojowniczy nastrój Niemiec, którego p. Treviranus był wyrazem, — zmienił się w idylliczną niemal atmosferę dyplomatycznej układności. Już w dniu 3 b. m., a więc ściśle w trzy dni po owej wojowniczej enuncjacji na łamach gazet berlińskich, p. von Hoesch, ambasador niemiecki w Paryżu, złożył wizytę francuskiemu ministrowi spraw zagranicznych, p. Briandowi, w czasie której — jak to doniósł jeden z dzienników berlińskich — p. ambasador sprostować miał „mylną“ interpretację zamiarów niemieckich w związku z ostatniemi wystąpieniami p. Treviranusa, podkreślając, że czynniki miarodajne w Niemczech nie dopuszczą do jakichkolwiek zmian w dotychczasowej polityce Rzeszy.



Statek „Bratvaag“, na którym przywieziono szczątki ekspedycji polarnej Andrèego.

Jednocześnie prawie ten sam dziennik berliński doniósł, że niemiecki minister spraw zagranicznych p. Curtius oświadczyć miał w czasie specjalnej konferencji p. Treviranusowi, że on tylko odpowiada za politykę zagraniczną Rzeszy i że zabieranie na własną rękę głosu w tych sprawach przez poszczególnych ministrów nie leży bynajmniej w interesach państwa.

Jeśli dorzucimy do powyższego list ministra wojny, gen. Groenera do p. Treviranusa, w którym zwrócono uwagę zapalczywemu ministrowi na łódź podwodną „Odpowiedź Treviranusowi“, na którą Polska zaczyna zbierać składki — nie możemy oprzeć się wrażeniu, że Niemcy pośpiesznie wycofują się z zajętego przedtem stanowiska, usiłując nadać pozory poprzednim wystąpieniom p. Treviranusa akcji czysto indywidualnej i samorzutnej.

Dzielni lotnicy francuscy, Costes i Bellonte, o których niezmiernie ciekawy artykuł podamy w przyszłym naszym numerze.



Słynna pływaczka, Mercedes Gleitze wyszła za Mr. Patricka Carey'a.



W dniu 6 b. m. odbył się w Kaliszu wiec protestacyjny przeciw zaborczości Niemców. W manifestacji wzięły udział tysiączne tłumy mieszkańców.

Przekonano się niewątpliwie w miarodajnych kołach niemieckich, że „atmosfera nie sprzyja“ bynajmniej wszczynaniu dyskusyj rewizjonistycznych. Wpłynęła na to, jak sądzić trzeba, zarówno zdecydowana postawa społeczeństwa polskiego, jego tak liczne żywiołowe manifestacje, jak i zdecydowanie „zła prasa“ całego niemal świata cywilizowanego, jaką opinja powszechna powitała butne przemówienia byłego kapitana marynarki niemieckiej, a późniejszego ministra terytorjów okupowanych.

Zresztą, czyż Niemcy mogły doprawdy przypuszczać, by dyskusja w sprawie granic, wszczęta na zasadzie art. 19, dała jakieś korzystne z ich punktu widzenia wyniki. Artykuł 19 paktu Ligi Narodów może być zastosowany jedynie wówczas — jak to orzeka rezolucja zeszłorocznego zgromadzenia Ligi, — gdy traktat stał się niewykonalny. Wypadek ten nie zachodzi tu bynajmniej, skoro granice zostały już wytknięte na gruncie; conajwyżej możnaby tu mówić o niezadowoleniu zeń jednej ze stron tylko, co jednak nie jest bynajmniej „niewykonalnością“, ale gdybyśmy się nawet na ową „niewykonalność“ zgodzili — oczywista po stronie niemieckiej tylko — artykuł 19 zezwalałby na zmianę granicy jedynie z warunkiem obopólnej zgody, a więc i zgody również Polski, to bowiem przewiduje układ w Locarno.

Do takiego „zgodnego“, polubownego załatwienia sprawy zmiany granic mogłaby wezwać obie strony Liga Narodów, gdyby państwo, występujące z wnioskiem, zdołało dowieść, że naprawdę chodzi tu o wypadek, przewidziany w art. 19. Pozatem należałoby osiągnąć jednomyślność decyzji zgromadzenia Ligi — bo to wypływa z art. 5 paktu, — owa zaś jednomyślność jest poważnie zakwestjonowana.

Któż bowiem z pośród państw, należących do Ligi Narodów, mógłby się wypowiedzieć za zmianą granic, ustalonych traktatami powojennemi? Litwa zapewne, a dalej Chiny i Abisynja, którym chodziłoby o stworzenie precedensu we własnym interesie. Ponadto możnaby jeszcze liczyć na Węgry i na Boliwję. Daje to w ostatecznym wyniku pięć głosów maksimum „Za“ na pięćdziesięciu czterech członków Ligi.

Ten tak prosty rachunek sprawił zapewne, że „czynniki miarodajne w Niemczech nie dopuszczą do jakichkolwiek zmian w dotychczasowej polityce Rzeszy“ — jak o tem poinformował p. Hoesch p. Brianda.

*

We Wschodniej Małopolsce harce ukraińskich organizacyj — działających bez wątpienia w porozumieniu z ościennemi mocarstwami — trwają bez przerwy. Straty wyrządzone majętności polskiej wynoszą 7 miljonów. Kraj cały pod znakiem teroru. Rewelacyjne dane w tej sprawie opublikujemy w jednym z najbliższych numerów.



Wbrew pogłoskom o chorobie Mussoliniego — dyktator brał udział w manifestacji w Rzymie.

Sylwetki londyńskie
(o modzie męskiej)

Mówiąc o modzie męskiej, mamy oczywiście na myśli modę angielską.

Czem dla elegantek całego świata jest Paryż, tem dla wytwornych gentlemanów — Londyn. Oblicze dwóch tych miast kładzie wybitne swe piękno na tworzonych przez się modach.

Lekkomyślny, kapryśny, jak kobieta zmienny Paryż i powściągliwy, zrównoważony w mgły i tradycje spowity Londyn. Kobieta się stroi — gentleman się tylko ubiera. Ale ubiera się dobrze. Dobroć materjału, celowość, praktyczność, poczucie umiaru, unikanie afektacji — oto wytyczne, których się trzyma w swych strojach cała angielska „Gentry" a za nią Londyn.

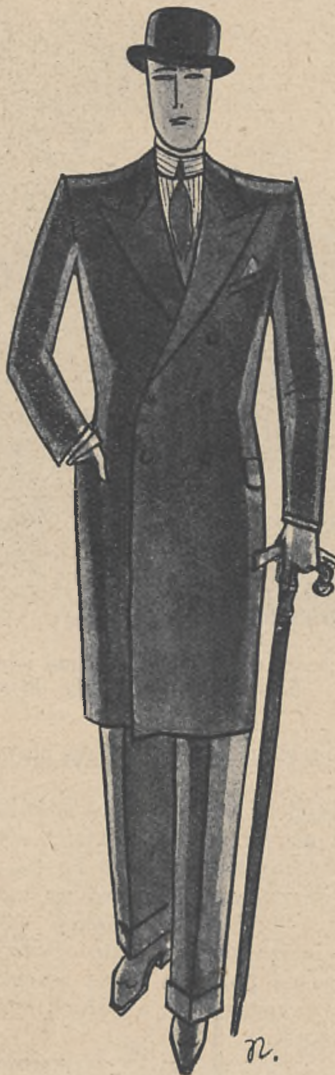
Jest rzeczą znaną, że tradycyjny strój gentlemana nie ulega prawie zmianom, nie mniej jednak zmiany te choć wyrażające się w ledwo dostrzegalnych rozmiarach, przynosi nam każdy niemal sezon. Tak się tworzy ewolucyjna linja mody męskiej.

Czas robi swoje i fotografja eleganta przedwojennego w owym wysokim aż po uszy, sztywnym kołnierzyku, ubraniu „kloszowem ; wysokim o zawijanych rondach meloniku, robi dziś na nas wrażenie groteskowe i różnica pomiędzy jego wyglądem, a wyglądem gentlemana współczesnego jest tak wielka, jak pomiędzy, dajmy na to, przedwojennym Fordem, a dzisiejszym modelem Rolls-Roys'a.

Różnicę tą wytworzyła nie tyle chęć zmiany, będąca głównym motywem w modach żeńskich, co dążenie do ulepszeń, do przystosowania się do zmienionych warunków życia, oraz genjalne poczucie komfortu i stylu rasy angielskiej.

Do nas dochodzą mody londyńskie via Paryż — Berlin — nic więc dziwnego, że w stanie mocno zmienionym. Wyciska na nich swe piętno i upudrowany „gigolo" paryski, dancingów i nie mniej podejrzany „hohschtapler" berliński.

Chcąc uniknąć owych pomylonych, a tak łatwo mogących nas ośmieszyć „ostatnich krzyków mody" zrobimy najlepiej, przyjrzawszy się ulicy londyńskiej i wystawom sklepowym West - Endu.



Nauczy to nas wiele rzeczy, a przedewszystkiem tej iście męskiej prostoty, prostoty będącej tajemnicą uroku mody londyńskiej.

Wczesna jesień. „Wszyscy do figury".

Oto dwa typowe garnitury marynarkowe na miasto". Jednorzędówka szyta ze słynnej szarej flaneli, lub tweedu, klapy proste dość pełne. Krój dopasowany do figury z wyraźnem wcięciem w stanie. Rękawy wąskie. Ramiona proste. Nieco dłuższe od zeszłorocznych. Spodnie dość szerokie z zawijanemi mankietami.

Drugą klasyczną odmianą jest garnitur dwurzędowy w kolorach bronzowym lub granatowym. Dopuszczalne prążki o ton jaśniejsze od tła. Klapy ostre zwrócone ku górze. Wyraźne wcięcie w stanie. Palt jeszcze nie widać, chyba w chłodniejsze wieczory, lub deszcze. Przewagą klasyczne dwurzędówki w kolorach szarym lub bronzowym i słynne Burberry, najczęściej o ukrytem zapięciu. Kapelusze filcowe ze zlekka zawijanem rondem. Pozatem bronzowe. Ronda nieco mniejsze od zeszłorocznych, opuszczone z przodu.

Nie mniej popularne i nieco poważniejsze „Homburgi". Kapelusze filcowe ze zlekka zawijanem rondem, Pozatem meloniki. Nowością w tej branży są meloniki granatowe. Czy się przyjmą? Wątpliwe. Bielizna kolorowa bardzo się przyjęła.

Najpopularniejsze są koszule popelinowe w kolorach szarym lub błękitnym. Sztywne kołnierzyki tegoż co koszula koloru są niskie i rogi mają krótkie, w przeciwieństwie do koszul sportowych najczęściej flanelowych, kołnierze których mają długie ostre rogi. Mankiety koszul wąskie.

Dbając o harmonijną całość, poszczególne części stroju są ściśle do siebie dopasowane.

Widzimy często krawaty z tegoż co i chusteczki materjału. Skarpetki z lekkiej wełny są albo o ton jaśniejsze od garnituru, albo kolorem swym powtarzają akcent krawata. Półbuciki z box - calfu lub zamszu w kolorach czarnym lub bronzowym o fasonie lekko - ostrawym (szerokie nosy dopuszczalne są tylko do sportów i na wieś) dopełniają całość ubrania na miasto.

O strojach sportowym, wieczorowym i t. p. pomówimy innym razem. *Esq.*



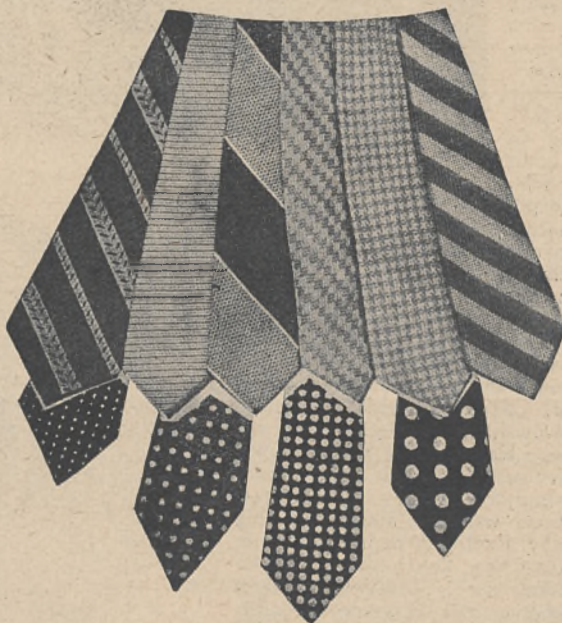


Tajemnica wytworności stroju polega nie tylko na tem, aby mieć dobrze skrojone ubranie. A krój bielizny i dobór pięknych kolorów? A krawat, skarpetki, laska, rękawiczki? A wreszcie, czyż elegancki gentelman nie powinien być równie wytwornym od chwili *„sauter du lit“* i posiadać w swej garderobie piękne pyjamy i szlafrok?

Nie trzeba być na to Krezusem, aby w to wszystko się zaopatrzyć — trzeba umieć kupować...

Obfity, może nawet najobfitszy dobór tych wszystkich artykułów znaleść można w znanej firmie Antoni CHOJNACKI, Warszawa, Marszałkowska 109, której wspówłaściciele p. SOŁTYS i KAUCZYŃSKI, będąc sami ludźmi nadzwyczaj eleganckimi, przytem doskonałymi kupcami, w zrozumiałej trosce o zadowolenie swej licznej klijenteli trzymają rękę na pulsie najnowszych prądów mody, i zaopatrują swój magazyn w najlepszych źródłach.

M. Z. W. M. Zak



Krawat to ważny szczegół, w stoju eleganckiego gentlemana.

Fabryka krawatów M. Zak, w Warszawie założona w roku 1915 jest w dniu dzisiejszym jedną z najpoważniejszych wytwórni tej dziedziny konfekcji w kraju.

Prezentujemy swym Odbiorcom bogatą i ze wszech miar urozmaiconą kolekcję najświeższych deseni i modeli.

Posiadamy na składzie wzory ze wszystkich ośrodków mody w Europie.









Helena Gruszecka - Detke, artystka dramatyczna, dawniej „redutówka“, przeszła obecnie do „Uśmiechu Warszawy“, gdzie kreuje „Reżysera Wysocką“ (parodja Wysockiej, reżyserowanie „Balladyny“) i parodję „Kominek zgasł“.



IMPRESJE REWJOWE



Juljan Krzewiński z „Wesołego Wieczoru".



P. Nowicka z „Wesołego Wieczoru".

NIEBIESKI WALC".

Rewja inauguracyjna w „Wesołym Wieczorze".

Serdecznie powitano na Nowym Świecie starych znajomych z Woli. Stawili się w komplecie, uzupełnionym jeszcze przez artystów tej miary, co czarująca Mara Gabrielli i Juljan Krzewiński oraz szereg młodych, a pożytecznych sił.

Główną zaletą rewji inauguracyjnej jest znakomite tempo, nadane jej przez reżyserów Horskiego i Skoniecznego oraz prześliczne kostjumy, projektowane przez art. - mal. Eugenję Galewską. I jedno i drugie przysporzyło rewji rytm i polor prawdziwie wielkomiejski. Przyczynia się do tego i trzeci atut „Wesołego Wieczoru" — zespół „girls", świetnie wymustrowanych przez Parnella i będących już zupełnie blizko doskonałości.

Wśród wielu pięknych melodyj nowej rewji z pewnością staną się wielce popularnemi przebojami: „Niebieski walc" Wiehlera o iście straussowskiem zacięciu oraz zachwycające tango Kagana „Nie trzeba słów".

Dyr. Woyciechowski zmusił swój zespół do wszechstronności: wszyscy muszą grać, tańczyć, śpiewać, wszyscy niemal, że nie schodzą ze sceny. Rzetelnie napracowali się: Gabrielli, Kraszewska, Żelichowska, Nowicka, Bukojemska, no i przedewszystkiem wciąż niezrównana Zizi Halama, ponadto zaś: Parnel, Skonieczny, Horski, Krzewiński, Macherski, Rentgen, Klimaszewski, wreszcie Bolcio Kamiński, jedyny, który nie miał w tej rewji dostatecznego pola do popisu, co nam, spodziewamy się, w następnej rewji zostanie powetowane.

Bawiono się na premjerze wyśmienicie. Słowem, dyr. Woyciechowski zaczął sezon pod dobrym znakiem. Oby tak i nadal...



Efektowna scena z rewji „Uśmiechu Warszawy" p. t. „Astry". (fot. Brzozowski.)

„SERCE WARSZAWY".

Rewja inauguracyjna w teatrze „Uśmiech Warszawy".

Choć „Wesoły wieczór", syt tryumfów i chwały, opuścił Wolę, awansując na teren nowoświecki, scenka na ul. Chłodnej nie opustoszała. Osiedliła się tam nowa impreza rewjowa. Kierownictwo literackie znanego powieściopisarza Jerzego Kossowskiego gwarantuje staranny poziom tekstowy.

To też pod tym względem niczego nowemu teatrowi rewjowemu zarzucić nie można. Pozatem narazie jeszcze niczem nas nie olśnił, ale ujął swym szczerym wysiłkiem i niebanalnością układu programu. Niebrak „Uśmiechowi Warszawy" wyższych aspiracyj w dziedzinie teatrzykowej, co wynika z wprowadzenia działu parodystycznego w świetnem wykonaniu Gruszeckiej, która znakomicie podpatrzyła manierę reżyserską St. Wysockiej. Niemniej udatnie sparodjowała znaną pieśniarkę Merlińska.

„Vis comica" była godnie reprezentowana przez dawno niewidzianego Gierasieńskiego, któremu dzielnie sekundował Halicz. Wśród nabytków niewieścich są dwa bardzo cenne: Brochwiczówna okazała się bardzo obiecującym talentem wokalno - rewjowym, oprawionym w piękne ramy czarującej urody. Petrykiewiczówna zaś łączy z przemiłą aparycją dużą kulturę aktorską. Przypomniały się publiczności z powodzeniem: przemiła Żelska i pyszna Betcherowa.

„Girls", tańczą nieźle... Ale prawdziwy taniec przychodzi do głosu dopiero, gdy Prokopiakówna z Heinrichem zawrotnie akrobatyzują... To dopiero nazywa się taniec...

Dyrekcji w osobach pp. Kwiatkowskiego i niespożytego Koszutskiego życzymy z całego serca powodzenia na nowopowstałej placówce.

Henryk Liński.



Sabina Sawicka utalent. artystka Teatru Lwowskiego, zaangażowana została na sezon b. do Teatru Wileńskiego pod dyr. Al. Zelwerowicza.

Anegdoty o aktorach

Jednym ze słynniejszych aktorów amerykańskich był swojego czasu Raymond Hitchcook. Pewnego razu, w okresie, kiedy sława Hitchcook'a błyszczała najświetniej na firmamencie scenicznym, przybył do New-Yorku, podczas swego tournée po Ameryce, londyński aktor Eddie Foy. Będąc zmęczony ciągłemi podróżami i wyczerpującą pracą postanowił Foy spędzić wieczór na przedstawieniu w Daly-Theater. Przybywszy do foyer, w którem wisiały podobizny Hitchcook'a. Foy przeczytał wszystkie wzmianki, uśmiechając się pogardliwie. Nagle zwrócił się do stojącego w pobliżu nieznajomego jegomościa i wskazując na wycinki, spytał go:

— Czy pan to czytał?

— Ma się rozumieć, że czytałem — odparł nieznajomy.

— I cóż pan na to?

— Ach! Boże, Cóż ja mogę na to powiedzieć.

— Czy faktycznie Hitchcook jest tak dobrym aktorem?

— Tak jest. To najświetniejszy aktor ostatniej doby. Śmiało go można nazwać mistrzem!...

— Przesada, — odparł Foy zirytowany, — czyż może on dorównać takiemu Eddie Foy?!

— A cóż wogóle ma Foy tu u nas do roboty? — odparł nieznajomy. — Hitchcook jest gwiazdą pierwszej wielkości... Pierwszy lepszy człowiek, który ma tylko pojęcie o sztuce, nie ważyłby się ich porównywać... I to mnie najbardziej dziwi, że pan mi zadaje tego rodzaju pytanie?...

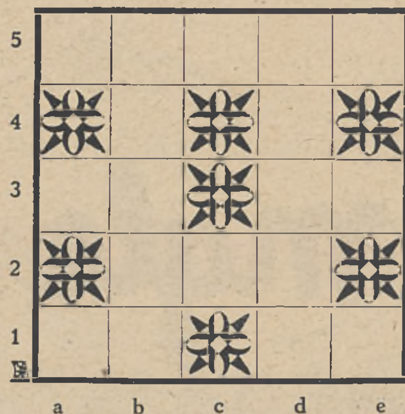
Eddie Foy wyprostował się dumnie, spojrzał z góry na swego rozmówcę i wycedził z godnością:

— Chce pan wiedzieć dlaczego? Dlatego, że to ja właśnie jestem Foy.

— Wiem o tem doskonale — roześmiał się nieznajomy — a ja jestem Hitchcook.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

KRZYŻÓWKA SYLABOWA



Znaczenie słów.

Wyrazy pionowe:

b5 Masowy wyrób według jednego szablonu
d5 Zrównanie z naszem.

Wyrazy poziome:

a5 Miasto w Europie
a3 Lasy
d3 Owoc
b2 „Półwysep" wodny
a1 Naród
d1 Termin chemiczny.

NAGRODY

Za rozwiązanie krzyżówki sylabowej z niniejszego N-ru przeznaczamy nagrodę do rozlosowania w postaci

25 ZŁOTYCH

oraz 2 książki beletrystyczne. Termin nadsyłania rozwiązań do dn. 24 września.

POZA KONKURSEM.

METAMORFOZA SŁOWA 6-LITEROWEGO
ułożył Czesław Kozłowski.

1	B	I	R	E	T	Y
2						
3						
4						
5						
6						
7						

Zmieniając po 1 literze utworzyć nowy wyraz. Za rozwiązanie 1 książka beletrystyczna (do rozlosowania). Termin 10-dniowy.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ
z Nr. 34:

1) KRZYŻÓWKA:

K	L	A	T	K	A
R	✱	M	A	R	R
A	T	E	R	A	K
S	✱	L	A	M	A
K	A	J	✱	I	D
A	L	A	S	K	A

2) ARYTMOGRYF:

R	U	R
A	T	U
F	O	B
A	L	E
E	I	N
L	O	S

Rafael — Rubens.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z Nr. 33 otrzymują (w wyniku losowania):

Nagrodę 25-złotową p. Maurycy Landau, Warszawa.

Nagrody książkowe pp.: F. Szymczak, Zgierz, Szeroka 8a; Irena Dworska, Lwów, Dunin-Borkowskiego 4c.

Polski epikurejczyk — Wacław Grubiński

(Garść refleksyj z okazji nowej sensacji teatralnej).

Jeśli nazwałem Wacława Grubińskiego Epikurejczykiem polskim, nie zrobiłem tego ani dla reklamy, jak również dla feljetonowej formy. Znając twórczość teatrologa, zastanawiałem się poważnie nad tematem i, po dłuższym namyśle, znalazłem wiele podobieństwa faktycznego między Epikurem, a współczesnym nam i głośnym autorze „Księżniczki żydowskiej"

Istnieje przedewszystkiem pomiędzy dwoma pisarzami, w tak odległych sobie epokach, podobieństwo podejścia do tematu, ujęcia zagadnienia z punktu widzenia życia, jakie widzieli. Najwięcej łączy ich ciepło przyrody. Pierwiastek szczęścia ludzkiego zawsze i wszędzie przemawia do nich, jako najwyższy punkt współdziałania wewnętrznego.

Grubiński — znawca kultury greckiej, dla której posiada specjalny kult entuzjazmu, reprezentuje go należycie w swoich dramatach: „Piękna Helena", „Djogenes". Sztuki te, których zazdrościć nam mogą wszystkie narody, posiadają nietylko wysokie walory artystyczne, ale również zawierają tę samą prawdę, którą głosili już ongiś pisarze starożytni.

Kwestja dramatu klasycznego po Wyspiańskim zeszła u nas na drugie miejsce. Zastąpił ją dramat współczesny pod dewizą „Sztuka dla sztuki". Dzięki jednak szybkiemu wzrostowi kultury polskiej z zakresu ekonomji społecznej, zwrócono uwagę znów na epokę starożytną. I z tego właśnie Grubiński zdaje sobie dobrze sprawę. Dlatego też po napisaniu tragedji „Księżniczki żydowskiej", która znalazła silne poparcie znawców nietylko w Polsce, ale i zagranicą, szczególnie w Anglji, przystąpił do innego rodzaju dramatu, mianowicie do komedji, gdyż ta lepiej jego usposobieniu odpowiadała, niż tragedja. Przepełniona humorem bohaterów i konfliktami, z natury rzeczy bardzo udatnemi, pomimo charakteru farsy, nosi powagę dzieła sztuki. „Lenin" jest komedją. I nie jednemu literatowi i teatrologowi, a szczególnie krytykowi wydawało się dziwne zestawienie tych dwóch przeciwnych kierunków, nawet artystycznych, pomijając już sprawy społeczne. Lenin i komedja, to dwie sprzeczności historyczne, a jednak twórca bolszewizmu odegrał rolę komedji psychicznej w Rosji sowieckiej i autor doprowadza swego bohatera nawet do histerycznego humoru, bo jego determinacja zawsze kroczyła w kierunku nierzeczywistości. I znów Grubiński posunął się do epikurejskiej syntezy: — Wszystko w porządku, bo jest mi dobrze.



Wacław Grubiński.

Wreszcie obok dramatów o charakterze komicznym, Grubiński kreśli refleksyjną, nie bez dozy humoru spisaną, własną spowiedź, „W moim konfesjonale".

Spowiada się autor w sposób pogodny, jakby nie miał żadnego śmiertelnego grzechu, a przecież wziął sobie „Niewinną grzesznicę". Duch jego buja w przestworzach bardzo wesoły i szczęśliwy, wierzy w siebie mocno i dlatego pogoda z jego oblicza nie znika. Znajomość kultury europejskiej stawia Grubińskiego wśród pierwszorzędnych pisarzów, czego dał dowód nietylko w dramatach, pracach okolicznościowych, ale w feljetonach, które stale umieszcza w „Kurjerze Warszawskim" p. t. „Literatura na szerokim świecie".

Niedługo ukaże się na scenie teatrów warszawskich nowa komedja Grubińskiego, której cały świat literacki polski oczekuje z wielkiem naprężeniem. Boć sensacja to nielada, tak jak każdy nowy występ Epikurejczyka polskiego, Wacława Grubińskiego.

Paweł Krzowski.

J. M. SALIŃSKI.



Opowieść rugijska

Nadsłuchiwaliśmy.

Znów — teraz z lewej burty — rozlega się ów głos, ni to skrzyp, ni kwilenie, coś z pociągnięcia po najwyższej strunie, flażoletem. Tak, właśnie coś z flażoletu skrzypiec było w tym lamencie pełnym niebywałej melancholji, powielekroć powiększającym nierealność tej mgły i nocy. Powstało to z mgły, było i minęło.

— A może to sygnał mgłowy — jeszcze wątpił Witkowski. — Niech pan posłucha.

— Ale skąd? Fehrman Belt zbyt daleko. Nie, to ptaki, panie Witkowski — powiedziałem — to ptaki, a zresztą...

Nadsłuchiwaliśmy.

Właściwie nie byłem pewien — ostatecznie to coś mogło być sygnałem mgłowym. Różne rzeczy mogą się dziać w tym zamroczonym świecie. Melancholijny, przeszywający odgłos powtórzył się, wionął przez mgłę w nostalgicznej pustce, w wymiarach innego świata.

Mgła. Poza martwym kręgiel świateł pozycyjnych mgła. Powiedziałbym — otchłań. I w tej otchłani — gulgot wody, piwniczny chłód i ciągłe, nieustanne trzaski i syki. Mgła. Zaledwie zarysy sylwetek obok — porucznika Ćwiklińskiego, Witkowskiego i gromniczny blask telegrafu maszynowego.

To morze. To Bałtyk — Bałtyckie stare morze. Morze Ingeborgi, Solveigi, Grety, Wikingów ,rybaków i wiatrów, starożytne morze. Morze mgły, morze innej planety dogorywającej we mgle, żałobne morze. Nadsłuchujemy. Patrzymy. Czekamy. Czuwamy. Z merkatorów, z kompasu, z tablic prądów i sond wiemy: są jego granice, Fehmar Belt, Bornholm, Rugja — Bałtyckie stare brzegi, piaszczyste, skalne, granitowe złomy.

I znów — zzewnątrz. Liczyłem (a może sygnał mgłowy)? Jedno przeciągłe — irri — dwukrotne karr... Nie, to nie sygnał mgłowy.

— Jaki kurs, Rzepecki? — półgłosem spytał Ćwikliński. I zaraz głos Rzepeckiego ze sternicy:

— Jedenaście nord-ost na kursie.

— Nic w lewo, — powiedział Ćwikliński.

— Nic w lewo, — odpowiedział głos Rzepeckiego.

— Wiesz, mon capitaine, — powiedziałem do Ćwiklińskiego — nie lubię, jak ptaki krzyczą po nocy.

Nie odpowiadał. Widziałem tylko, że uśmiechnął się tylko tym swoim nocnym śmiechem, miękko i ironicznie.

— Nic w lewo, Rzepecki, — powiedział tylko. I zaraz odpowiedź:

— Nic w lewo.

Fale szły zawiłą linją, wstecz, odbiegały od burt „Niemna", bulgotały i znikały we mgle. Nie odrywaliśmy oczu od lornetek. Fale szły zawiłą linją ku nieistniejącym brzegom ziemi. Już powinniśmy zobaczyć światło Arkony, cztery regularne wybłyski. I nic. I nic. Tylko ten nieziemski lament ptaków we mgle.

— Dwa stopnie w prawo, Rzepecki, — powiedział Ćwikliński.

— Dwa stopnie w prawo, — odpowiedział Rzepecki. Posłyszałem skrzypnięcie szturwału. Nic się nie zmieniło. Niewidomi, czekaliśmy na jakiś znak, na najlżejszy błysk. Czułem chłodny niepokój Ćwiklińskiego, stał jak przykuty do burty, nawet nie chodził swoim zwyczajem wzdłuż mostku. Czekał na cztery regularne wybłyski Arkony.

Fala odbija od burt „Niemna" i zaraz niknie we mgle, potem po drugiej stronie bytu uderza o granit, odsuwa się, żeby plusnąć jeszcze mglistsza, jeszcze monotonniejsza. Czasem plusnęła głośniej, dotknęła nóg kobiety, opartych o głaz, i znów szumiała daleko we mgle.

Ta noc chyba nie miała początku ani końca. Jak mgła. Karin czekała od tak dawna, bo wiedziała, że Sigurd będzie szedł tą drogą, brzegiem z Tromsoe do domu, przy latarni Staberhuk. Zapewne przed nocą — bo wiedział, że idzie mgła — wrócił do Tromsoe, zaraz przejdzie tu. Ale po co czekać? Co mu powie? I czy wogóle coś powie? Tyle ma do powiedzenia, a ze skrytą nadzieją myśli, że oto kiedy będą kroki Sigurda, przylgnie do skały, skurczy się i nie westchnie nawet, będzie nocą tylko i mgłą. I że może Sigurd nie zauważy jej i pójdzie — jasny, ciężki, silny, bóg, wszystko. Potem ona, Karin, krętemi, mglistemi drogami wróci do domu, zapadnie w swoje somnambuliczne sny, obok niej, kochanej, przeklętej Ingrid, też pogrążonej w swoje sny, też o tem samem.

Zaczęło się to wszystko oddawna. Karin i Ingrid, popielata i złota, ciemnooka i błękitnooka, siostry, mogłyby powiedzieć wiele. Ale nie umiały. Tylko w samotnych kobiecych snach, w niekończących się myślach i marzeniach, powtarzały się jednakowe zdarzenia, z których inni ułożyli to opowiadanie, żeby wiedzieć dlaczego krzyczą ptaki w mgliste, bałtyckie noce. Są to szturmani, piloci, ludzie Bałtyckiego morza, nawigatorowie, potomkowie i ojcowie nawigatorów. Ludzie z mglistej krainy, surowej krainy ciemnych żywiołów, rybacy dalekich ławic, latarnicy zagubionych latarni, poszukiwacze przygody i bursztynów, — to oni wiedzą, co znaczy ten krzyk we mgle, oni — leśni mieszkańcy Waalwiku, wyspiarze Gotlandu i Bornholmu i Aesel, kopacze rudy z Lulea, rybacy płytkich wód na Adler Grundzie, przemytnicy z Abo i Helsinki, czarodzieje rugijscy, — wszyscy mieszkańcy mglistego świata Bałtyku, bałtyckich dzikich wód. I wśród nich ja — przelotny gość tych smutnych obszarów, słyszałem mewi krzyk we mgle, żeby teraz, temi słowami opowiedzieć o Karinowej i Ingridowej miłości i śmierci, kobiecie, którą kocham.

Wciąż te same są sny kobiet, sióstr z Tromsoe, wciąż o tym samym. Zawsze Sigurd, taki sam, jasny, bronzowy, muskularny mężczyzna. Taki sam, jak w pierwszym dniu przybycia do Tromsoe, kiedy go ujrzały po raz pierwszy i urzeczone marzeniem wzięły go w swoje sny. Przyjechał do Tromsoe z Północy, tu kupił sobie łódź, rybaczył. Obcy przybysz mało z kim zadawał się, o świcie szedł na morze, wracał w nocy. W niedzielę naprawiał sieci. Uśmiechał się do wszystkich jednakowo, mówił mało, lubiany i nielubiany, ot — obojętny, rybak jak rybak. Trochę konkurent, trochę pomocnik. Nic się w Tromsoe nie zmieniło. Morze pozostało morzem., ryby rybami, słońce wschodziło i zachodziło, kłopoty były kłopotami, mgła mgłą, tak samo pachniała morszczyzną i wilgocią ziemia, nocami migała latarnia Staberhuk. Tylko codzienne sny córek pastora wypełniły się Sigurdem, tęskniły za nim, płakały, męczyły się, posmutniały, zdziczały. A on żył sobie obojętny i cichy i prawdopodobnie nie wiedział, że jest ucieleśnieniem największych tęsknot, że jest większym niż bóg.

Karin czekała. Powolne uderzały o granit fale. Daleko za mgłą wyły boje. A bliżej — odgłos lekkich kroków i przez jedno mgnienie oka myśl: ale to nie Sigurd. To była Ingrid.

I odrazu — ukłucie w piersi, żal, nienawiść, tkliwość i rozkosz.

To była Ingrid.

— To ty, Karin? — spytała.

— Ja, powiedziała Karin.

Ingrid usiadła obok, niewołana, nieproszona. Skuliły się obie, milczały, słuchały, jak my słuchamy teraz melancholijnego nawoływania ptaków, zagubionych we mgle. Nawoływały się tuż obok siebie, krzyczały, płakały, przeżarte niewysłowionym bólem miłości i nienawiści, a jednak było dookoła tylko milczenie i mgła.

— Karin, szepnęła Ingrid — Karin, słyszysz mnie? I po długiem milczeniu — Karin, czy słyszysz mnie?

Karin słyszała. Ale nie odzywała się. Cóż miała mówić, kiedy teraz serce jej było samą tkliwością i nienawiścią. Nienawiścią ku tej

błękitnookiej kobiecie, która też miała prawo do Sigurda, którą też mógłby całować Sigurd, która mogłaby urodzić jego dziecko. Milczała. Fale zwilżały granit i jej nogi. Milczała i nawet starała się oddychać wtedy, gdy głośniej plusnęła fala, żeby tamta, przeklęta nawet oddechu jej nie słyszała.

— Słuchaj, Karin, — zaczęła mówić Ingrid, cicho, szeptem, bo też czekała na kroki Sigurda, też wiedziała, że powinien wracać z połowu do Tromsoe, bo przecież nie zostanie na morzu w taką traszną noc.

— Słuchaj, Karin, — mówiła, — Karin, już tyle dni muszę ci powiedzieć, ale ty nie słuchasz mnie. I odchodzisz zawsze. A od tej niedzieli — muszę ci powiedzieć. I ty nie odejdziesz, Karin? Ty musisz mnie wysłuchać, bo ja więcej nie mogę, ja od tej niedzieli wiem wszystko. Karin, Karin, ja chciałam ci to powiedzieć już wczoraj, kiedy szyłaś ten czepek dla ojca, ale ty odchodzisz zawsze. Dlaczego powiedziałaś, że idziesz do kaplicy, przecież ja wiem, że ty przychodzisz tu, żeby słuchać jak on idzie.

— Karin, przecież ty wiesz, że ja wiem wszystko. I ty wiesz wszystko. Ja wiem, że ty, Karin, nie będziesz żyć bez niego. Ale nie odchodź, Karin. Ja wiem, że ty jesteś taka smutna i taka bardzo biedna i płaczesz po nocy i spać nie możesz, bo chcesz, żeby on był z tobą, bardzo chcesz, a ja ci przeszkadzam, bo ty wiesz, że i ja jego chcę. On będzie z tą, która go bardziej chce, i ty nie wiesz, czy ja go chcę bardziej, czy ty. Prawda, Karin? Nie odchodź tylko, Karin, bo ty zawsze odchodzisz i milczysz. Ty nie możesz inaczej, Karin, i ja nie mogę, ale teraz koniecznie muszę, bo ja żyć już nie chcę, Karin. Nie, ja będę żyć, Karin, ale ja już nie chcę żyć. Ale ja będę żyć nie martw się, Karin. I nie odchodź.

— Karin, ja myślę tak: kogoby chciał on u nas. Przecież nie Małgorzatę, prawda, Karin. Małgorzata jest taka stara i brudna. A on taki śliczny. On ma takie śliczne włosy. I nie Selmę, prawda? Selma jest taka nieprzyzwoita. Selma źle się prowadzi i on nie będzie chciał takiej. Prawda, Karin? A Mikaeli ojciec nie pozwoli, żeby chciała jego, mówił tak, nawet powiedział: przenigdy i powiedział, że ją przeklnie, jeżeli nie wyjdzie za mąż za młodszego latarnika ze Staberhuk, bo ten latarnik to bardzo porządny. Prawda, Karin? On tylko będzie ciebie chciał. Prawda, Karin? — płakała Ingrid. Płakała cicho, najcichszym szeptem, bo tak rozpaczliwie czekała na kroki Sigurda, bo tak strasznie, jak dziecko, bała się tej okropnej nocy, mgły, Karin, tak strasznie rozpaczała, że oto kończą się jej, Ingrid, mgliste sny, w których przychodził on, najjaśniejszy, właśnie do niej.

— Nie, ty nie myśl, Karin, że on by chciał mnie. Ja teraz wiem, że nie. Wiesz — ja już przechodziłam parę razy koło jego domu i przez okno widziałam na ścianie jego pokoju jeden obrazek. Na obrazku tym była taka dziewczyna z ciemnemi włosami i ciemnemi oczami, taka jak ty, Karin. A ja jestem inna, ja nie podobam się jemu. Karin, Karin, Karin, słyszysz, ja nie podobam się jemu. A tej niedzieli, Karin, w kaplicy widziałam: on patrzył na ciebie. I jeszcze — nie odchodź, Karin — ja wyjadę stąd. Wiesz, pojadę do wuja Olafa, ja będę mieszkała u wuja Olafa, żebyś ty nie myślała, że ja chcę jego. Ja nie chcę go, ja nie chcę, żebyś ty zawsze odchodziła i milczała, bo myślisz, że on woli mnie. On mnie nie woli, nie woli, nie woli. I ja go wcale nie kocham, nie kocham, nie kocham. Nic a nic. Ani tyle.

Krzyczała szeptem. Krzyczała szeptem, bo tak rozpaczliwie czekała na kroki Sigurda. Nie przeszedł. Nie powiedział, że to nieprawda, że to naprawdę nieprawda. Było wszystko jak było: noc, mgła, wycie mgłowej boji Staberhuku.

Karin wstała. Szła wolno, oddalała się we mgłę, odchodziła, milczała jak zwykle, pogrążona w swoje mgliste, bajeczne sny. Nic nie odpowiedziała. Poprostu poszła sobie precz. Być może, zatrzymałaby się, gdyby nie słyszała za sobą kroków Ingrid, siostry, kobiety, znienawidzonej i kochanej, teraz być może najbiedniejszej ze wszystkich kobiet ziemi.

Szły tak obie coraz wyżej i wyżej, nad morze, znanemi drożynami skał. Coraz niżej huczały fale przy boju. Szły naślepo, coraz wyżej, urwiskami skał. I tylko mgła głuszyła kroki kobiet. Stanęły na szczycie o jakie sto stóp nad falą i głazami przyboju. Blisko przy sobie, tak blisko, jak w tamtych czasach, kiedy nie było jego. Stały blisko siebie, jak skały— zamglone, niebywałe, w szumie morza i chłodzie nocy, na krawędzi starej ziemi i starego morza.

— Ingrid, — powiedziała Karin. — Skłamałaś mi. To nieprawda, coś mi powiedziała. On woli ciebie.

— Nie, Karin, powiedziała Ingrid.

— Tak, Ingrid. On napewno woli ciebie. I to ja powinnam wyjechać do wuja Olafa.

Pochyliła się, żeby pocałować Ingrid. A Ingrid cofnęła się o krok wstecz i jeszcze o krok, i jeszcze.

— Ingrid! — krzyknęła Karin. Ale Ingrid już spadała, już obsuwała się coraz niżej — w huk przyboju. A za nią Karin.

— Karin, Karin, Karin! — krzyknęła Ingrid. Ale ostatnie słowo doleciało już z tak daleka, bo woda już zalewała usta Ingrid, a przybój rozszarpywał jej ciało na głazach. Głosu Ingrid już nie było słychać i tylko ostatni krzyk Karin:

— Ingrid...

— ... bo głowa Karin o jedną chwilę później uderzyła o krawędź skały i o jedną chwilę później przestała oddychać.

W tej samej chwili dwie mewy podniosły się ociężałym lotem z huku przyboju — w mgłę.

Powoli leciały coraz wyżej i wyżej, nad skały ziemi, nad morze — w mgłę. I głos jednej był — karr, a drugiej — irri.

Monotonne nawoływanie, dźwięk pełen niebywałego żalu, ostatni krzyk Karin i Ingrid, dwie mewy — szara i biała. A przedtem mew w tych stronach nie było, czasem z lądu nadlatywały albatrosy, ale te nie krzyczą po nocy.

To wszystko. Jeżeli kiedyś kobieta, którą kocham, będzie płynęła tym samym szlakiem, drogami chmurnej Bałtyki, cmentarzyskami wraków, — nad rugijskiemi brzegami, jak przed wieki przedtem i wieki potem, będzie leżała ta sama mgła i będzie taka sama noc. Usłyszy we mgle tej nocy śpiewny głos ptaków, będzie wiedziała, że to przedśmiertny krzyk Karin i Ingrid, jej nieznanych umarłych sióstr.

Nadsłuchiwaliśmy. Z lewej burty doleciało — karr, z prawej — irri. Pamiętam uśmiech Ćwiklińskiego — ironiczny i smutny, maskujący niepokój. Gdzieś, może właśnie o te sto stóp, powinna być ziemia, krawędzie skał, przybój. Patrzymy. Czekamy. Czuwamy. Nic — tylko mgła.

— Rzepecki, pięć stopni w prawo, powiedział Ćwikliński półgłosem.

— Tak jest, pięć stopni w prawo. Osiem Nord-Ost na kursie.

Jedynie głos Rzepeckiego był czemś, co istniało naprawdę we mgle tego nierealnego świata.

Tragedja wielkiego odkrywcy

Każdemu mniej lub więcej znane są dzieje wypraw Kolumba, każdy przynajmniej wie że odkrył on Amerykę. Popularność tej bohaterskiej postaci zawdzięczać należy nie jego energji, ani zasługom, ale temu, że w swoim czasie umiał postawić ugotowane jajko kurze na czubku. Przysłowiowe „jajko Kolumba" uczyniło go nieśmiertelnym w daleko większym stopniu, niż podróże do Indji Zachodnich, więzienie, godność wicekróla odkrytych ziem i t. d. Dziejowy ten paradoks jest jednak bardzo oczywisty, bo jeżeli wspomnieć o takim Vasco de Gama, to choć zasługi jego dla cywilizacji niewiele są mniejsze, imię jego słyszy się nader rzadko i ze smutkiem trzeba stwierdzić, że na nim poza Kolumbem kończy się lista wielkich odkrywców, o których wie coś niecoś przeciętny Europejczyk. Może tam jeszcze nagle przypomni się komuś Cook, ale to przeważnie tym, którzy jeżdżą sleepingami towarzystwa „Wagons-lits—Cook" — i kropka.

Z pośród tych, co dalej po śmierci Kolumba odkrywali połacie amerykańskiego lądu, szukając drogi okrężnej do Indji, na pierwsze miejsce wysuwa się niestrudzony Henry Hudson. Imieniem jego nazwana została rzeka, płynąca dziś przez największe miasto świata — Nowy Jork, dalej również przez niego odkryta olbrzymia zatoka, wrzynająca się klinem wgłąb Kanady, zatoka Hudsona, Hudson Bay.

Sama postać Henry Hudsona pozostaje do dziś ogromnie tajemnicza. Niewiadomo, z jakiej warstwy pochodził, a nawet z jakiej ooklicy Wielkiej Brytanji. Nie wiemy, kiedy się urodził, ani w jakich okolicznościach umarł.

Musiał jednak odznaczać się wielką energją i przedsiębiorczością, musiał mieć wiarę w siebie i dar przekonywania innych, skoro udało mu się zorganizować cztery wyprawy pokolei, choć jedna po drugiej przynosiła fiasko. Namówić towarzystwa kupieckie angielskie lub holenderskie do wyłożenia znacznych sum pieniędzy, na powierzenie mu dobrego okrętu, zaopatrzenie go na kilkanaście miesięcy w żywność, załogę i broń — nie



— Panie żandarm!... Ja jestem nie tutejszy... Może mi pan podczas drogi wskaże, co tutaj jest godnego uwagi...

dając wzamian żadnego zabezpieczenia wydanych sum na własnym majątku, którego Hudson wcale nie posiadał — nie było łatwo. Kupcy wszystkich czasów zawsze byli jednakowo ostrożni. A jednak Hudson dokazał swego. W roku 1607 zawarł umowę z handlowem towarzystwem holenderskiem. Otrzymał okręt i pieniądze, otrzymał zapewnienie o wysokiej gratyfikacji, jeśli uda mu się odnaleźć krótszą drogę do Indji Wschodnich przez Atlantyk.

Warto sobie uprzytomnić, jak przedstawiały się szanse tej podróży według ówczesnych poglądów geograficznych. Wiedziano, że ziemia jest kulą, nie zdawano sobie jednak sprawy z długości jej obwodu. Wydawało się wszystkim, że skoro Indje leżą tak strasznie daleko na wschód, to od zachodu droga do nich musi być znacznie krótsza. Muszą one leżeć tuż za ziemiami, odkrytemi przez Kolumba, może nawet graniczą z niemi. Pogląd ogromnie naiwny, ale były jeszcze naiwniejsze. Oto wszyscy geografowie owych czasów wierzyli, że skoro biegun północny jest nieruchomy względem słońca, to musi tam być jeszcze cieplej, niż na równiku i nikt nie dziwił się, że Henry Hudson wybiera się do Indji drogą na biegun. Robił to i ze względów politycznych. Ameryka środkowa, odkryta przez Kolumba, podbita przez jego następców (dzisiejsze Antyle, Kolumbja, Peru i Panama) była w posiadaniu Hiszpanji: Anglicy i Holendrzy byli wrogami Hiszpanów, nie mógł więc Hudson, agent raz Holendrów, raz Anglików, marzyć o zbytniem zbliżeniu się do ziem Filipa II-go.

Latem 1607 roku wylądował w Grenlandji i powoli posuwał się na północ, nie zdając sobie sprawy, jak niebezpiecznie postępuje. Szczęściem nie zabrnął dość daleko, gdyż ogromnie starannie zbierał wszelkie naukowe dane i materjały, tyczące się ziemi, jaką uważał za pomost do Indji, nic nie wiedząc, że dawno przed nim odkryli ją Normanowie. Zima uwięziła go w lodach. Długie kilka miesięcy znosił wraz z załogą okropne mrozy i głód — i z żalem musiał wrócić do Europy, gdy tylko lody ruszyły, ponieważ wszelkie zapasy wyczerpały się. W następnym roku 1608 angielskie towarzystwo handlowe powierzyło mu zadanie, jakiego nie dokonał rok przedtem. I znów wyruszył na północ, gdyż mimo doświadczeń zeszłorocznych wierzył jeszcze, że uda mu się dotrzeć w „gorące" okolice biegunowe. Posunął się trochę dalej na zachód cieśniną Hudsona, obijał się po wyspach, zapełniających Ocean Lodowaty Północny, od strony Ameryki, znów badał warunki klimatyczne, faunę i nędzną florę odkrytych ziem, znów przezimował i wreszcie zwątpił zupełnie, czy biegun jest gorący naprawdę i czy przez morza polarne prowadzi droga do Indji. Powrócił do Anglji i kołatał do różnych towarzystw, aby pozwoliły mu się zrehabilitować, zaznaczając, że tym razem popłynie do Indji napewno.

Udało mu się wreszcie znowu wejść w porozumienie z Holendrami. Niderlandy rywalizowały z Anglją na morzu i nie chciały stracić żadnej okazji do pokonania swych handlowych konkurentów, zwłaszcza jeżeli szło o Indje. Holenderskie towarzystwo dla handlu z Indjami wyposażyło Hudsona w doskonały okręt i wszelkie środki materjalne, dając mu cały 1609 rok czasu dla dopięcia celu. Nawet gdyby zginął, obowiązywali się Holendrzy do wypłacania wdowie po nim 80 talarów rocznej renty dożywotniej.

Wyruszył więc wczesną wiosną 1609 roku na zachód i wylądował w dzisiejszym Nowym Jorku. Rzeką, nazwaną później Hudsonem, posuwał się wgłąb lądu, badając po drodze okolice pobrzeżne. Ale wkrótce zawrócił na morze, gdyż celem jego były Indje, a nie walki z czerwonoskórymi tubylcami. Opłynął Labrador i znalazł się w wielkiej zatoce (dziś zatoce Hudsońskiej), którą uważał za morze, którem droga prowadzi na zachód, do Indji

Ale podczas jednej z uczt, wydanych dla Indjan na okręcie, wybuchła walka między pijanymi gośćmi, a gospodarzami. Chmary czerwonoskórych oblepiły statek i po zaciętej bitwie udało się Hudsonowi odbić od brzegu, ponosząc wielkie straty w ludziach, gdyż załoga jego była dość nieliczna. Nie mogąc ze zbyt małą ilością ludzi kontynuować zamierzonej podróży, z bólem serca wrócił do Amsterdamu. Poczciwi Holendrzy, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące w postaci góry futer niebieskich, białych lisów i rosomaków, pozwolili Hudsonowi w następnym roku znowu wyruszyć do Ameryki ze skompletowaną załogą.

Niestety, tym razem składała się ona w większości z awanturników, indywiduów niekarnych i buntowniczych. To też zaraz po wylądowaniu w zatoce Hudsona w r. 1610, wybuchły swary i kłótnie, a wreszcie w ciągu długiej podróży po obwodzie zatoki — otwarty bunt. Hudson, licząc się z tem, że długo jeszcze wypadnie mu być w podróży, zmniejszył racje żywności. Przywódca zbuntowanej załogi, Henry Green, oskarżył kapitana, że żywność ukrywa. Po zaciętej walce na pokładzie okazało się, że wierni marynarze wraz z Hudsonem i jego synem, liczą tylko siedem osób. Henry Green, wiedząc, że musi kiedyś zdać sprawę w Europie z buntu, obszedł się z uwięzionymi przez siebie zwolennikami kapitana pozornie łagodnie. Wyjechawszy kawał na zatokę, puścił ich na łodzi bez żagli, wody słodkiej i żywności na wodę.

Henry Green nie umiał jednak poradzić sobie z koleżkami. W wyniku jakiejś bójki zginął wraz z przywódcami buntu, zamordowany przez własnych ongiś zwolenników. Wrócili oni do Europy i wkrótce stanęli przed sądem miejskim w Amsterdamie. Nie było komu żądać kary dla nich: żona Hudsona już nie żyła. Zostali uniewinnieni.



— Ciekawym, czy nas wyratują. Gotowi pomyśleć, żeśmy sobie wywiesieli flagi na jakieś regaty...

(Simplicissimus).

SZTUKA ODDYCHANIA— TO SZTUKA ŻYCIA

Nie jest tak łatwą rzeczą, jakby się napozór wydawało, umiejętnie oddychać. I dlatego też rzecz ta, jak naprzykład w odniesieniu do śpiewaków, wymaga nawet specjalnej nauki. Oto jak o tej sprawie wyraża się jeden z najsławniejszych pedagogów europejskich, prof. W. Flaske: „Sztukę oddychania badałem od wielu lat i twierdzę, że tylko ten śpiewak potrafi tłumy trzymać w napięciu — z zapartym tchem, który zdoła opanować sztukę oddychania".

Określenie to stało się z czasem powszechnie uznaną maksymą, choć jedynie w znaczeniu teoretycznem, nieliczni nawet bowiem nauczyciele śpiewu zdają sobie sprawę z doniosłego znaczenia prawidłowego oddychania, a lekarze częstokroć zapominają, iż rzecz ta może mieć poważny wpływ na zdrowie i życie.

I dziwnem się wydawać musi, że właśnie ta funkcja jest przez wszystkich bardzo mało kultywowana. Obserwacja wykazuje, iż ludzie trwożliwi, nieśmiali, lękliwi, oddychają inaczej, niż osobnicy o charakterach śmiałych, pewnych, których piersiowy ton oddechu porywa i zwycięża. Inaczej również oddychają materjaliści i fantaści. Ci pierwsi mają zazwyczaj charakterystyczny, krótki, skarłowaciały, płytki oddech, drudzy zaś głęboki, cichy, jakby żebrowy.

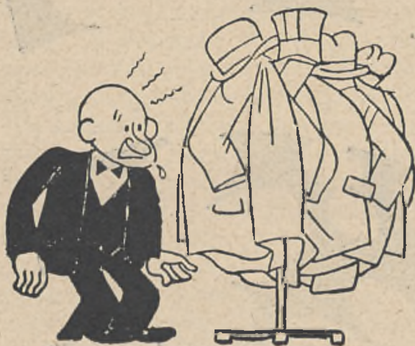
Dużą rolę w sztuce oddychania odgrywa rytm i głębia. Porywcze, niespokojne charaktery, ludzi bez powodzenia, wiecznie zakłopotani, drobiazgowi, pesymiści, oddychają płytko, niespokojnie, krótko i nierytmicznie. Melancholicy oddychają również krótko i urwiście; w strachu człowiek ledwo waży się oddychać, zaś przerażenie całkowicie zapiera oddech. Radość, odwaga, otucha, pozwalają piersiom pracować całą głębią i pełnią, zaś przy cierpieniach duchowych i fizycznych, natura obdarzyła człowieka dobrodziejstwem, zwanem westchnieniem, jękiem, co wszak jest niczem innem, jak wyzwalającem oddychaniem.

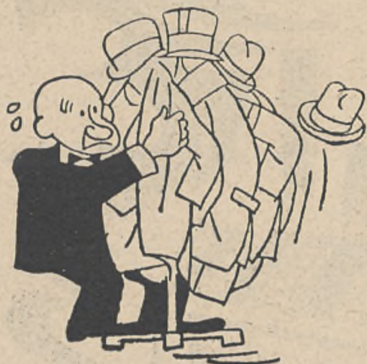
Przy wielkiej radości, lub szczęśliwości oddech ludzki nabiera dźwięku, tonu i przekształca się w śpiew, który wszak jest tylko udźwiękowionem oddychaniem, dźwiękowym wyrazem uczucia. I tylko ten śpiewać potrafi, kto dla swej sztuki obiera sobie powyższe prawa, a prawo to powinno być punktem wyjścia dla pedagoga, który musi być nauczycielem nietylko gardła, ale i duszy swojego ucznia.

Ludy starożytne lepiej od nas ocenili doniosłość tego zagadnienia. Nie jest zwykłym przypadkiem, że Grecy, dla określenia pojęcia: dusza i oddech, znają tylko jedno słowo: *pneuma* (co pozatem oznacza również powietrze). Również dziwy i cuda energji, wyczyniane przez fakirów i jogów, zasadzają się jedynie na całkowitej umiejętności i opanowaniu potęgi oddychania. Już tysiąc lat przed erą chrześcijańską, Tczuang Tse powiedział: „czysty oddech ludzi idzie z głębi i powoli, lichy zaś siedzi w gardle". Również i Kant dowodził związku między oddechem i wolą człowieka; gruntowne poznanie sztuki oddychania zawdzięcza chorowitemu okresowi swojej młodości, kiedy siłą woli hartował i wzmacniał swój organizm. Przez systematyczne oddychanie „leczył się z przeziębienia, kataru i kaszlu", i „zaspakajał najsilniejsze pragnienie". Nietylko efekty fizyczne wyzyskiwał Kant swoją sztuką oddychania. W swojej pracy „Ze świata mocy uczuć", w której opisuje, jak przez zwykły zamiar swojej chorowitej jaźni postanowił zostać mistrzem, Kant między innemi dowodzi, że oddychanie i siła woli, są do tego stopnia mocą jednakowej potęgi, że mogą być uważane za jedną. *M. S.*

Pieśń bez słów

(Guttierez, Madryd)











ODMŁADZANIE

Bardzo wiele mówi się *dziś* o odmładzaniu. Czy i *jutro* też się o tem mówić będzie?

Napewno. Wszelki temat o odsunięciu od siebie śmierci, starości, o utrzymaniu młodości, zawsze interesował ludzkość. A pozatem jest faktem, że, jak wiemy, nie kończyło się na samem jedynie zainteresowaniu. W najdawniejszym z mytów czytamy o „źródle młodości", które bogowie musieli zamknąć z powodu nadmiernej frekwencji! A mądry Salomon i chory król Dawid mieli w gruncie rzeczy to samo zmartwienie, co i starcy naszych czasów. Zmieniły się jedynie metody. W mitologji poszukiwano młodnienia, zapomocą kąpieli z mleka i krwi, w biblijnych czasach w zbliżeniu z kwitnącą dziewczęcością, w miarę zaś rozwoju nauk — w dzisiejszem tego słowa znaczeniu — poczęto stosować krew nie zewnętrznie, lecz wprowadzać ją do wewnątrz, a o sile i odmładzającym jej wpływie pisano grube księgi. O papieżu Innocentym VIII wiemy, że pewien *judaeus quidam medicus*, pragnąc mu życie przedłużyć, zastrzyknął mu krew, wziętą z... trojga dzieci! Dzieci otrzymały po kilka dukatów, ale zmarły, papież zaś, który za odmłodzenie zapłacił, zmarł przed nimi. Nie znał się „medicus" na transfuzji. Idea jednak nie umarła, i ot, dopiero za naszych czasów, demonstrował w paryskiej *Societe Medicale des Praticiens* dr. H. Jaworski metodę przez siebie wynalezioną odmładzania, za pomocą transfuzji krwi. Nazwisko to znamy już w Polsce. Naturalnie, nie każda krew się do tego nadaje, a pochodzić musi z młodego organizmu. Stara krew na nic się nie przyda.

Francuz, dr. Carrel, przed kilkunastu laty dowiódł. że tkanki, wyodrębnione z całości, bez porównania lepiej prosperują w młodej krwi, niż w starej. Na tej to zasadzie rozpoczął dr. Jaworski odmładzać ludzi starszych za pomocą krwi z młodych, zastrzykując im homeopatyczne dozy. Twierdzi on, że ma z tej metody leczniczej świetne rezultaty.

Jeśli ta metoda odmładzania jest niczem innem, jak krokiem naprzód w stosunku *judaeus quidam medicus* u Innocentego VIII-go, to i system króla Dawida, zagrzewania się... u piersi młodych dziewcząt, również przedostał się na drogę medyczną. *Hermippus Redivivus*, dzieło z ośmnastego wieku J. H. Cohausena, zawiera ten sam przepis. Przepis ten jest zupełnie prosty: trzeba żyć wśród młodzieży, specjalnie zaś ożywczo oddziaływać miał, według niego, oddech małych dziewczynek, ich dziecięcych płuc. Cohausen naszkicował bardzo ponętny — a przytem zupełnie przyzwoity! — obraz, jak się żyć powinno, aby się nie starzeć. Nikt nie wypróbował jego teorji, lecz tryb życia, przepisany przez niego, bywa faktycznie w życiu stosowany.

Trudno zaprzeczyć, ale przecież w żadnym zawodzie nie ma tylu starych ludzi, co wśród nauczycielstwa, żyjących, oddychających wciąż wśród mło dej generacji?!

Rozwijającej się wiedzy medycznej IX stulecia przestały jednak wystarczać także nieistotne mgliste zestawienia. Dążąc do znalezienia klucza, pasującego do każdego zamka, starała się nauka spenetrować przy pomocy anatomji tajemnicę młodości. Zwróciło jej uwagę, że właściwy okres dojrzałości u ludzi rozpoczyna się z obudzeniem działalności gruczołów nasiennych i że z początkiem „zimy życia" zjawiają się w naszym organiźmie lata przejściowe, owe lata niemiłego starzenia się, które porównujemy z jesienią. Czyżby te zmiany w organiźmie były zależne od funkcji gruczołów? Czyżby zatem starość nie była niczem innem, jak tylko gruczołami, nie dość sprawnie pracującemi?

Gdy działalność gruczołów żołądka zaczyna szwankować, gdy żołądek produkuje za mało kwasu solnego, lub pepsyny, zastępujemy to kwasem solnym lub pepsyną z apteki. Czyżby nie można od zewnątrz dać starym gruczołom nasiennym tego, czego im brak? Już prawie przed stu laty stary Brown-Sequard sam sobie zastrzykiwał w celu odmłodzenia ekstrakt z gruczołów nasiennych byka.

...Wielka to i szlachetna idea, pragnąc, ażeby przodownicy ludzkości zachowali siłę twórczą, polot i elastyczność, ustrzedz ich przed popadnięciem w zdziecinnienie, nim zdążą wszystko powiedzieć. Lecz każda taka idea staje się bezsprzecznie komiczną, o ile się zaczyna łączyć z seksualnością. Wobec tego, że utrzymanie siły rozrodczej wykpiwano już sto lat temu u ludzi, poddających się kuracji metodą Brown-Sequarda, co jednak nie przeszkodziło, że na podstawie tej metody powstała cała nowa gałęź wiedzy, t. j. *organoterapja* i że obecnie aż za wiele szafuje się zastrzykami z wyciągów i gruczołów zwierzęcych, nasiennych, jak „Testogan", „Thelygan" i tysiące innych podobnych preparatów.

Niestety, wydobywanie przydatnych składników z organów zwierzęcych jest połączone z takiemi zabiegami, że osłabia to siłę ich działania. Z tego powodu głowiono się na tem, jak składniki te wydostać z ludzkiego ciała. Słynny już dziś lekarz Steinach doszedł do wniosku, że można odnośnemu organowi, spełniającemu podwójną funkcję, jedną odjąć i tym sposobem wzmóc działalność drugiej: t. j. gdy się gruczołowi nasiennemu, którego zadaniem jest dbanie o odmładzanie ludzkości przez odmładzanie człowieka, zabiera, podwiązuje, dosłownie „podwiązuje" pierwszą funkcję, musi on wzmóc swą działalność w stosunku do swego drugiego przeznaczenia.

Z tego powstała owa drobna, jak i słynna operacja Steinacha, polegająca na podwiązywaniu dróg nasiennych mężczyzny t. zw. „wazoligatura". Udało mu się to istotnie w wielu wypadkach. U kobiet jest taki zabieg ze względów anatomicznych nie do przeprowadzenia, zamiast tego przyjęło się obecnie przegrzewanie gruczołów elektrycznością.

Mechanizm zabiegów odmładzających Steinacha polega na tem, że impuls, świeżo pobudzony, idąc z gruczołu nasiennego, udziela się również reszcie gruczołów i organom do nich należącym, zmniejsza to, prawie zawsze w starszym wieku, zwiększone ciśnienie krwi i z tego powodu wszystkie tkanki znów się lepiej odżywiają, następuje żywsza przemiana ma terji. Pozatem zabieg odmładzający zapobiega wysychaniu tkanek w późniejszym wieku. Rezultat ostateczny jest następujący: wzmożenie działalności wszystkich organów i poprawa lub kompletne usunięcie braków, albo uszkodzeń, spowodowanych starością". Tak twierdzi uczeń Steinacha, Piotr Schmidt.

O ile Steinach dąży do wzmożenia produkcji, to znów Woronow w Paryżu pragnie powiększyć „zakład regeneracji człowieka" i za pomocą drugiej „fabryki" utworzyć... syndykat. Ten drugi zakład mógłby być własno-



Prof. Woronow przebywa obecnie w Japonji.

ścią tego, ktoby się poświęcił dla przyjaciela. Woronow jednak mieszka we Francji, gdzie każdego gruczołu nasiennego broni prokurator i gdzie zakazana jest kastracja. Z tego powodu musiał zwrócić się do zwierząt. Zdaje się, że jednak nie największym kłopotem operatora, bo nie wszędzie jest zdobycie ofiarodawcy. Kiedyś ukazała się bowiem w pismach wiadomość, że w Agram (Jugosławja) jakiś morderca, skazany na śmierć, ofiarowywał wój gruczoł nasienny ludzkości, lecz... w całej Jugosławji nikt go nie chciał przyjąć!

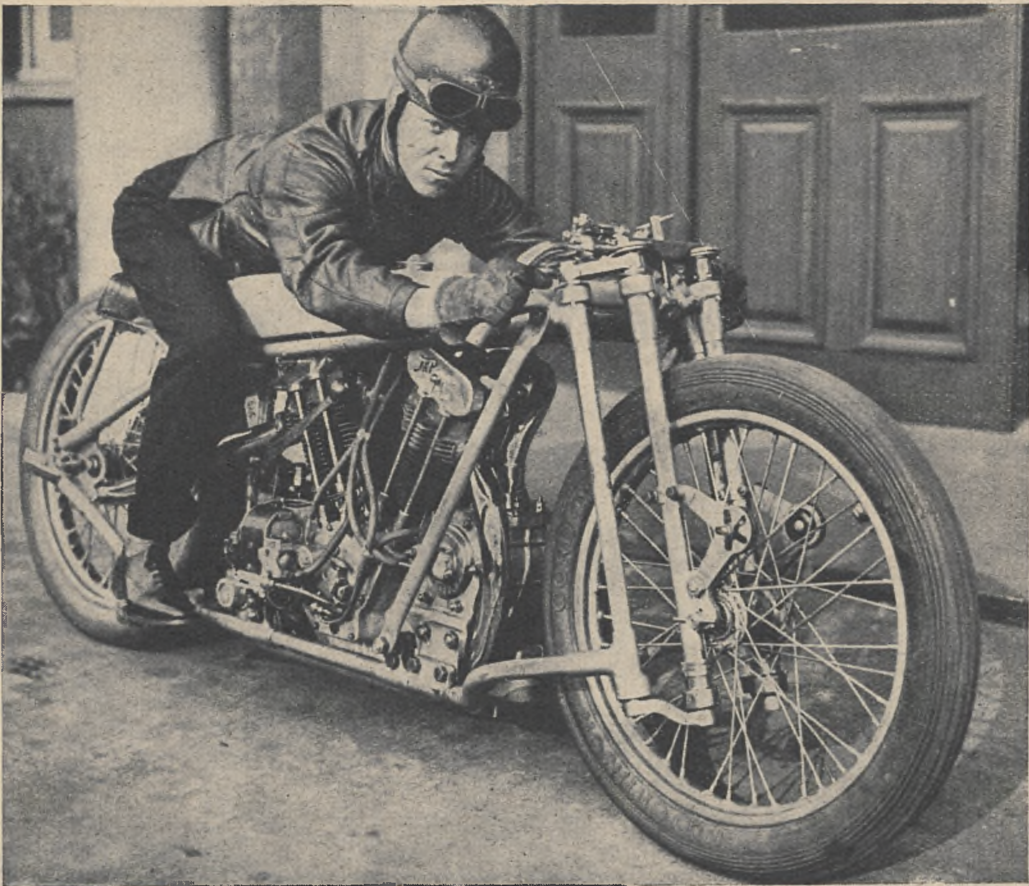
W kraju tym jest widocznie mniej pragnienia odmładzania, lub też w zachodniej Europie ludzie mają mniej przesądów — dość że do Woronowa w Paryżu zgłosiło się mnóstwo kandydatów, wśród których byli przeważnie intelektualiści, uczeni, artyści, wielcy przemysłowcy i wielu, wielu lekarzy, których Woronow operował wynalezioną przez siebie metodą. A przytem nie miał do dyspozycji gruczołów, chociażby mordercy, jedynie gruczoły szympansów, a gdy i te z czasem stały się za drogie — prawdziwy małpolud kosztuje do 20.000 złotych! — zwrócił się do pawianów. Operuje się jednocześnie człowieka i małpę, człowieka znieczula się tylko miejscowo, a małpa — jest ona przecież ofiarodawczynią! — podlega całkowitej narkozie. Delikatnie zabiera się małpie gruczoł nasienny i przenosi do bardziej... ludzkiego otoczenia. Podobno w 97 proc. wynik operacji był wspaniały, operowani byli zachwyceni. I operator był zadowolony. Ale czy i małpy były także zachwycone, o to się nikt nie... troszczył. Biedne!

Czy jest to jednakże urzeczywistnieniem marzenia o prolongowaniu życia?

Każdy z nas chciałby długo żyć. Niestety, zdaje się, że natura jest temu przeciwna, lub conajmniej żąda za to wysokiego okupu — starości. Czy *nauka* w końcu da nam to, czego nam *natura* odmawia?

Trudno jest młodo wyglądać, a o ile trudniej odmłodnieć! Ale kto wie, jakie nas jeszcze czekają niespodzianki! Nie traćmy nadziei, jesteśmy świadkami usiłowań na tej drodze. Laboratorja pracują... Czyż wylęgarki drobiu przed 100 laty śniły się komu? A przecież wielu ludzi nie wie, że są wylęgarki ludzi... dzieci niedonoszonych!...

R. H. L.



Motocyklista Wright pobił ostatnio swój własny rekord szybkości, osiągając 2zv km. 995 m. na godzinę.

Wśród książek

Jotes (Jerzy Szwajcer) — Okiem karykaturzysty. — Warszawa, 1930. Nakładem Bibljoteki Groszowej.

Nie chcę przyjacielowi Jotesowi robić zbytniej reklamy. Bo i po co? Znają go wszyscy — a w każdym razie nasi czytelnicy, którym nie skąpiliśmy ani rysunków, ani prozy miłego karykaturzysty. Nie chcę, powtarzam, robić mu zbytniej reklamy, gdyż przedewszystkiem kieruje mną zazdrość. Jest bowiem jeden rozdział Jotesowej książki, rozdział poświęcony początkom karjery artysty, który wywołuje we mnie cichy dramat. I ja, — dziś z pióra niestety żyjący — zacząłem od karykatur, od takich szkicyków, kreślonych na ławie szkolnej, na marginesie „De bello Gallico" lub innego budującego arcydzieła — za co (o losie!) dostawało się prostego, jak świeca, „konia". Lecz Jotes wytrwał. Nałykawszy się „koni" i wszelakich innych kondemnat do syta, zapisał się do budy malarskiej. Opanowany jednak chorobą karykatury (sam to przyznaje) mało sobie robił z „sztuki dla sztuki", gęby natomiast kreślił na prawo i lewo — dla ich wyrazu, „okiem karykaturzysty", chwytał z nich prawdę, efekty kontrastowe, z lubością zaznaczał „poufne" tajemnice twarzy.

I został Jotes tym rasowym karykaturzystą, którego znamy od szeregu lat niezmordowanej pracy — w kraju i zagranicą — smakoszem karykatury, doskonałym jej znawcą i pierwszym jej służką literackim.

Co tu mówić! Wziął mnie... na całego. I jedyną być może, pociechą jest to, że kiedyś (nie przymawiam się!) ogromną — nadnaturalnej wielkości „mordę" moją, przekaże potomności.

Wybiegam jednak za ramy tematu. Boć przecież nie chodzi o gorzkie żale, ani o komplementy — ale o szczerą prawdę, o książkę Jotesa.

A więc przedewszystkiem — z punktu widzenia „oka karykaturzysty", książka ta stanowi wyłom w naszej literaturze, jest bowiem pierwszą, która w tak obszerny i wszechstronny sposób omawia przedmiot. Wyznam szczerze — a mam pretensję, że znam się trochę na tem — iż rzadko można spotkać podobne opracowanie tematu nawet w literaturze obcej. Najlepiej — oczywista — potraktował autor sprawę karykatury portretowej, tłomacząc w przejrzysty i barwny sposób, na czem polega ów „genre" i na jakie trudności napotyka artysta, poświęcający się tej dziedzinie. Autor podaje pozatem szereg wybitnych nazwisk, które zapisane zostały do dziejów karykatury i komentuje różnorodne cechy talentu poszczególnych artystów.

Osobny rozdział książki poświęcony jest jaskini bohemy stołecznej — t. zw. „małej", w której Jotes uwiecznił szereg typów i typików. Stosunek karykatury do filmu, jako jedno z najnowszych zagadnień sztuki, potraktowany jest w jednym z dalszych rozdziałów niezwykle interesująco i rewelacyjnie.

Cykl wrażeń i spostrzeżeń artysty zamyka wreszcie barwny opis podróży z ołówkiem w ręku po całym świecie, opis naszkicowany perłami humoru, jakiego pozazdrościć mu musi niejeden „globe trotter" — feljetonista.

O książce naszego przyjaciela napisałem — co umiałem. I mimo zazdrość, której podałem motywy, dałem się unieść uczuciu szczerego podziwu. „Subjektywny objektywizm". Być może. Lecz krytykę tę osądźcie po przeczytaniu książki. Ręczę za to przynajmniej, że żaden z Czytelników nie będzie miał za złe, iż namawiam go do tej lektury. A Jotes — tembardziej...

Er.

Z zawodów lekkoatletycznych Polska—Japonja



Nishida w skoku o tyczce osiągnął 3 m. 80.

(fot. Światowid)



Sumigoski osiągnął oszczepem rzut 64,31 mtr.



Kimura w skoku wzwyż (1,85 mtr.)







Finał biegu na 100 mtr. Pierwszy po prawej stronie Sikorski (zwycięzca), za nim Trojanowski, Nachaiima i Kalinowski.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE.
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 35. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty, są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.